Cena 7 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 13 stycznia 1946 r. | Nr 2 (59)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

O sprawach ważnych na codzień

I.

Kultura polska przechodziła trzy rodzaje prób zachwiania hegemonii szlacheckiej: u schyłku XVI w., u schyłku XVIII w., na przełomie XIX i XX w. Te okresy były równocześnie okresami najświetniejszego rozwoju umysłowego społeczeństwa, najświetniejszych jego wysiłków politycznych. Mówiąc o XVI wieku myśli się zwykle o Fryczu. Trzeba jednak przypomnieć i mieszczańskiego syna, Górnickiego, który pierwszy postawił jasno i wyraźnie problem: wolność i władza. I Przyłuskiego, księżego syna z małego miasteczka, który pierwszy zbudował świetny system polskiego prawa politycznego. I Petrycego, który w komentarz do polityki Arystotelesa wcielił najsurowszą może krytykę doli plebejusza w Polsce. („Jeśli ludzie, którzy nie są szlacheckiego stanu, plebei, mają wolność jaką w Rzeczypospolitej"). Schyłek XVIII w. daje nie tylko Staszica. Cała Kuźnica kołłątajowska jest wczesno-demokratyczną reakcją przeciw hegemonii szlacheckiej, a jej wódz duchowy, Kołłątaj, byłby w innych warunkach niejako połączeniem polskiego Talleyranda i polskiego Robespierre'a (nie trzeba zapominać, że ten jeszcze głęboko w latach rewolucji podpisywał się de Robespierre) Gdy mówimy o reakcji antyszlacheckiej na przełomie XIX i XX w. — myśli się zwykle o pozytywizmie warszawskim i początkach socjalizmu — ale przeocza się, że cała szkoła krakowska była także w treści swej krytyką polityki i kultury szlacheckiej w Polsce (przede wszystkim Bobrzyński, jakże surowy krytyk wschodniej polityki magnackiej i wewnętrznej polityki szlacheckiej. Z jakim istotnym, nieukrywanym nieraz lekceważeniem odnosił on się do współczesnej mu szlachty galicyjskiej, **którą i przez którą**, ale nie **z którą** chciał rządzić — ten paradoksalny konserwatysta, który z pomocą chłopskich polityków chciał stworzyć kompromis polsko-ukraiński i padł ofiarą episkopatu. A z młodszych W. L. Jaworski — tworząc to dzieło, które sam najwyżej cenił, „Projekt kodeksu agrarnego", tworzył w istocie ustrój dla Polski chłopskiej, może „kułackiej", ale przecież nie ziemiańskiej).

Wszystkie trzy próby się załamały. Próby wieku XVI uległy sojuszowi reakcji katolickiej i reakcji szlacheckiej. Polscy inteligenci mieszczańscy końca XVIII w. i stańczykowscy oraz pozytywistyczni inteligenci mieszczańscy przełomu XIX i XX w. chcieli prowadzić politykę państwową i chcieli przekształcenia kultury polskiej — ale chcieli dokonać tego **przez szlachtę** wbrew chwilowym i zewnętrznym interesom szlacheckim. Sukces ich polityki dałby nam może rozwój zbliżony do angielskiego: ewolucyjne przejście od społeczeństwa o hegemonii szlacheckiej do społeczeństwa burżuazyjno-demokratycznego. Dałby nam tę fazę rozwoju, której brak w przeszłości do dziś odczuwamy. Doświadczenia ich okazały, że na szlachcie oprzeć się nie można. Nie ma w Polsce warstwy bardziej niż ona krótkowzrocznej politycznie: wolała zawsze utrzymanie własnej hegemonii politycznej i kulturalnej. W XVI w. choćby za cenę zupełnego wyjałowienia politycznego i kulturalnego, w XVIII w. choćby za cenę katastrofy państwa, w XIX w. choćby za cenę ugody z zaborcą. Próbę końca XVIII w. przecięły rozbiory (jeden może Kołłątaj zrozumiał wtedy — w przeciwstawieniu do wieku XVI i końca XIX — że nie da ona wyniku bez rewolucji społecznej, tak jak ją wtedy rozumiano).

W rezultacie przechodzimy dziś od politycznej i kulturalnej hegemonii szlacheckiej do polityki i kultury istotnie demokratycznej bez przejściowego okresu hegemonii burżuazyjnej. Jesteśmy — jeśli idzie o fazy rozwoju — ubożsi od zachodniej Europy. Nie przeszliśmy pewnej szkoły dyscypliny gospodarczej i myślowej, która merytorycznie była fałszywa i skazana na zagładę, ale dostarczyła dla następnej — demokratycznej — fazy wielkich wartości, których nie należy zapoznawać. Tym większy wysiłek czeka demokrację polską: w okresie krótszym niż Zachód odrzucić z przeszłości wszystko to, co jest martwe, zasymilować to, co jest cenne.

II

Inteligencja może odegrać swą rolę w społeczeństwie tylko wtedy, jeśli nie uważa się za odrębną klasę społeczną (ten fakt ujął Stalin, powiadając: „inteligencja pracująca nigdy nie była i nie może być **klasą** — była ona i pozostaje **warstwą** rekrutującą się spośród wszystkich klas społeczeństwa"). W społeczeństwie wieloklasowym (a społeczeństwo polskie będzie nim jeszcze długo) inteligencja tylko wtedy przezwycięży w sobie przekonanie o własnej odrębności klasowej, jeśli będą w niej wszechstronnie i równomiernie reprezentowane wszystkie prądy i kierunki polityczne, kulturalne i gospodarcze społeczeństwa. Tak nie jest. Nie należy ukrywać tego oczywistego faktu: inteligencja polska jest w swej ogromnej większości pod wpływem ideologij nacjonalistycznych i burżuazyjnych Odsetek inteligentów rozumujących i solidaryzujących się z zagadnieniami określanymi jako „kultura ludowa" czy „kultura socjalistyczna" jest minimalny. Co groźniejsze zaś: jest minimalny przede wszystkim wśród szerokich mas inteligencji, na prowincji (zrozumienie i solidaryzowanie się z ruchem kulturalnym mas ludowych i robotniczych łatwiej znaleźć wśród profesorów uniwersytetów, niż wśród sędziów, lekarzy, adwokatów małego miasteczka, gdzie właśnie byłoby najpotrzebniejsze). Unikniemy konieczności rewolucyjnego budowania nowej inteligencji tylko wtedy, jeśli szybko zmienimy stosunek sił społeczno-politycznych w obrębie inteligencji na bardziej zbliżony do stosunku tych sił w przecięciu całego społeczeństwa. Dlatego zarządzenie rządu o wstępnym roku uniwersyteckim jest w istocie zarządzeniem nie rewolucyjnym ale ewolucyjnym: jest próbą zastrzyku nowych sił i nowych elementów do inteligencji polskiej, uwszechstronnienia inteligencji bez marnowania jej dotychczasowych wartości. Od powodzenia tej próby zależy w pewnej mierze przyszły los inteligencji w Polsce. Dlatego niepowodzenie w pierwszym roku (na wstępny rok studiów na wszystkich wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego zgłosiło się 14 osób) nie powinno zniechęcić. Student bez matury — to przede wszystkim dojrzały już życiowo chłop lub robotnik. Jest on krytyczny i ostrożny. Pójdzie na studia wyższe, jeśli się przekona, że społeczeństwo zapewni mu warunki ich ukończenia, że szkoły wyższe wyjdą mu naprzeciw. Mieszkanie i utrzymanie raczej niż stypendia pieniężne ze strony rządu, odpowiedni poziom roku wstępnego ze strony szkół wyższych powinny przełamać nieufność.

III

Przed 15 laty fakt, iż na pierwszy rok medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim nie zapisał się ani jeden syn chłopski, określiłem jako objaw ujemny, o groźnych dla kultury polskiej skutkach, gdyby miał być trwały. Dziś, w czasie doświadczeń egzaminowych pierwszego powojennego roku utwierdzam się jeszcze w tym zdaniu. Student uniwersytetu pochodzenia chłopskiego (także i robotniczego, choć może w mniejszym stopniu) wnosi do inteligencji polskiej nową, pozytywną cechę, wyróżniającą go od studentów pochodzenia inteligenckiego: konkretność. Ma nieraz gorsze przygotowanie ogólne. Nie formułuje tak składnie i wzorowo odpowiedzi na pytania. Ale góruje nad studentem pochodzenia inteligenckiego, skoro się go np. zapyta o **faktyczne i praktyczne** konsekwencje określonego i znanego mu przepisu ustawy. Dla studenta pochodzenia inteligenckiego nauka jest w wyższym stopniu abstrakcją, student pochodzenia chłopskiego lepiej potrafi przetłumaczyć jej treść na konkreta życiowe. Połączenie w przyszłej inteligencji polskiej tych obu cech może dać rezultaty niezmiernie cenne. Nie tylko z naukowego czy kulturalnego punktu widzenia. Także i politycznego: inteligencja zasilana elementem chłopsko-robotniczym będzie bardziej liczyła się z konkretnymi skutkami takich czy innych posunięć politycznych, będzie prowadziła bardziej politykę faktów, mniej politykę nastrojów nie liczących się z konsekwencjami — może także rezultat szlacheckiej podstawy dotychczasowej inteligencji (wszak polityk szlachecki, fundowany gospodarczo na posiadaniu ziemi był mniej niż inne warstwy zagrożony faktycznymi skutkami fałszywej polityki, „fantazja szlachecka" była fantazją człowieka, który nie musiał kalkulować, a więc myśleć).

IV

W r. 1754 posiadał we wsi Smarzowej Krzysztof Szela 1 łan (30 morgów) gruntu i miał na tym gruncie 4 woły. Z tego łanu odrobił pańszczyzny 6 dni „pieszych" i jeden dzień „ciągły" w tydzień, czyli dni pieszych 300 a dni ciągłych 50 w roku. W dzień „ciągły" miał zwieść z lasu 4 fury drzewa, 4 fury chrustu oraz wyorać 30 zagonów. Robotę pieszą miał robić dwojgiem ludzi, to jest żąć, grabić, pleć, a do siewki, młocki, do wody po jednemu posyłać. (Dr Adam Bogusz, właściciel Smarzowej, podając w r. 1904 te szczegóły dodaje: „z opisanego przykładu widać, jaką wartość mają te stereotypowe powtarzania historyków, o uciemiężaniu włościan pańszczyzną przez szlachtę w Galicji").

W r. 1790 ogłosił synowi tegoż Szeli i wszystkim chłopom pańszczyźnianym cyrkułu dąbrowskiego cesarski rząd austriacki, „żeby poddani w Galicji w czasie przyszłym tak jak dotychczas dla swoich panów pańszczyznę robili, aby tak wielkie i straszne niebezpieczeństwo niedostatku i nędzy a może zupełnego zginienia od ulubionych poddanych oraz ich żon, dzieci i wnuków oddalone było", gdyż „dobre mienie i powodzenie pana i jego poddanych tak ściśle z sobą są spojone, że jedno bez drugiego być nie może, osobliwie że poddany bezustannie i w każdej porze roku wsparcia i łaski swego pana potrzebuje, na które niewzruszoną wiernością i posłuszeństwem zasługiwać powinien".

Wnukowi tegoż Krzysztofa, Jakubowi Szeli, przypomniał „Katechizm poddanych galicyjskich" w r. 1832, że pańszczyzna bynajmniej na trzy dni w tygodniu zniżoną nie została: „ci, co tak myślą, ducha prawa nie rozumieją i rządowi niesprawiedliwość przypisują". Pouczył go zaś równocześnie, iż „pan wsi albo zastępca jego może poddanego zamknąć o chlebie i wodzie, w łańcuszki okuć i do roboty za karę użyć, a nawet z gruntu i domu wyzuć, jeżeli poprzednie mniejsze kary nie skutkowały".

Poczem przyszedł rok 1846.

V

W wydanym przez Ministerstwo Oświaty wyborze literatury o chłopie polskim pominięto jedno nazwisko, które powinno się było tam znaleźć. Michał Bobrzyński („Karta z dziejów ludu wiejskiego w Polsce". Kraków, 1892) pierwszy udokumentował tezę o wyższości chłopa polskiego nad warstwą szlachecką. Pisze tam:

„Widzieliśmy jego (chłopa) pożądanie ziemi i zagarnianie jej pod swą pracę, ale zarazem przedsiębiorczość, która tej ziemi i pracy gotowa jest szukać w korzystniejszych warunkach, choćby daleko od domowego ogniska. Szlachcic bronił tej ziemi z początku dzielnie, potem słabiej od nieprzyjaciół zewnętrznych, chłop ją ciągle rozszerzał. Zdobywał ją nieraz tam, gdzie szlachcic, jak w Prusiech Książęcych, nie miał odwagi dla państwa potem jej zagarnąć. Zdobywał ją, zachowując język swój i obyczaj wszędzie tam, gdzie go Kościół spod swojej nie wypuścił opieki. Tę samą ziemię chłop pracą swoją i twardą wytrzymałością zachowuje i rozszerza dla narodu dzisiaj, gdy szlachcicowi w trudnych warunkach politycznych i ekonomicznych nieraz się ona z rąk wymyka".

Ten wyrok pisarza, jakże dalekiego od radykalizmu, mógłby być wstępem do prawa o reformie rolnej, jej polityczno-narodowym uzasadnieniem.

VI

Druga połowa XVI wieku dała Polsce szczęśliwe rozwiązanie zagadnienia wyznaniowego. Problem wyznania pozostał zagadnieniem wewnętrznym jednostki a nie stał się problemem politycznym. Partyjno-polityczne i społeczne linie podziału były od linii wyznaniowych zupełnie niezależne. Państwo było „świeckie" w tym rozumieniu, iż było niezwiązane z żadnym określonym wyznaniem. Dawało mu to i zmniejszenie płaszczyzn tarcia — a więc jednolitość — na wewnątrz i niezawisłość na zewnątrz.

Koniec wieku XVI i wiek XVII przyniósł zasadniczą zmianę: likwidację reformacji i hegemonię katolicyzmu w Polsce. Metody likwidacji reformacji nie wiele odbiegały od antysemickich metod z końca XIX i początku XX wieku. Motor wprawiający w ruch tę likwidację znajdował się poza państwem Reakcja katolicka była tak ściśle złączona z próbami rządów habsburskich w Polsce że może uchodzić za narzędzie do tego celu. Celu nie osiągnięto, ale spokój wewnętrzny i siła atrakcyjna Polski padły ofiarą.

Wiek XIX był w Polsce okresem konkretnych i realnych prób zespolenia mas żydowskich ze społeczeństwem polskim. Dały nam one wiele świetnych nazwisk polskiej nauki, polskiego życia gospodarczego, polskiej polityki. Dały podniesienie kultury szerokich mas żydowstwa polskiego — nie dały asymilacji, ale zaczęły dawać zmniejszenie obcości dwóch narodów, żyjących na tej samej ziemi i mających tych samych wrogów.

W tym momencie przyszła — jak w wieku XVII — fala „nienawiści wyznaniowej tłumów" (jak ją określał Wacław Sobieski pisząc o czasach Zygmunta III). Jak w w. XVII była — zwykle nieświadomym — narzędziem polityki habsburskiej, tak w końcu w. XIX była narzędziem polityki carskiej, w w. XX



Kościół drewniany z r. 1490 w Laczy w powiecie gliwickim na Górnym Śląsku. Budynek ten, złożony z kwadratu nawy i analogicznego presbiterium, o stromych, pierwotnych dachach, jest najstarszym pomnikiem sakralnego budownictwa drewnianego na Śląsku, a prawdopodobnie i w całej Polsce. Jako zabytek dawnej ciesiołki polskiej ma dla naszej nauki wyjątkowe znaczenie.

narzędziem hitlerowskiej polityki. Rezultaty były takie same: rozbiły jednolitość społeczeństwa, osłabiły jego międzynarodową pozycję, podkopały jego moralność, obniżyły kulturę. Gdy tłum burzył w Krakowie Zygmunta III zbory protestanckie i ariańskie, nie przeczuwał, że wchodzi na drogę, która doprowadziła do protektoratu Prus i Rosji nad dyssydentami w Polsce a potem stała się jednym z pozorów dla rozbioru państwa.

VII

Katolicyzm dał Hiszpanii imperium światowe: imperializm misjonarzy jako nadbudowa ideologiczna walki o potęgę gospodarczą stworzył wielki zamorski świat mówiący po hiszpańsku i myślący po hiszpańsku. Protestantyzm dał społeczeństwom anglosaskim potęgę gospodarczą: rola purytanizmu jako nadbudowy ideologicznej dla budowy wczesnego, twórczego i rozrastającego się kapitalizmu wydaje się, po pracach choćby Maxa Webera w Niemczech czy R. H. Tawneya w Anglii, niewątpliwa. Polska tkwiła stale w orbicie katolicyzmu, w wieku XVI zdawała się wchodzić w świat myśli protestanckiej, była terenem konfliktu myśli protestanckiej i katolickiej. Co dał Polsce katolicyzm, za nadbudowę jakiej polityki **polskiej** służył? Zdaje się, że nie będzie przesadą twierdzenie, iż Polska była narzędziem katolicyzmu, że katolicyzm nigdy u nas nie służył celom polskim. Nie odegrał nigdy roli obrońcy przed imperializmem niemieckim, a stwarzał jedynie sztuczną solidarność interesów pewnych czynników polskich i „świętego cesarstwa rzymskiego niemieckiego narodu" — ściślej mówiąc, czynił pewne czynniki polskie narzędziem tych interesów. W wieku XV — w interesie pozornie katolicyzmu, w istocie niemieckim, uniemożliwił unię polsko-czeską. W końcu wieku XVI uniemożliwił połączenie Polski i Rosji pod władzą ostatnich Rurykowiczów, a jeśli się zważy, że panowanie następców Iwana Groźnego, to są początki specyficznego i krótkotrwałego parlamentaryzmu rosyjskiego, można zaryzykować tezę, iż uniemożliwił wejście Rosji wspólnie z Polską na drogę zachodnio-europejskiego rozwoju. W początku XVII w. uniemożliwił połączenie Rosji i Polski pod władzą Wazów, stał się przyczyną zerwania unii polsko-szwedzkiej.

A protestantyzm polski? Ujęcie gospodarczej strony polskiego protestantyzmu czeka jeszcze na swego historyka. Ale już choćby prace tego uczonego, który uczynił najwięcej dla wykazania, iż przeszłość Polski nie jest wyłącznie katolicka, Stanisława Kota, rzucają pewne światło na to zagadnienie. Gdy „bracia polscy" odwiedzali swych morawskich współwyznawców, zgorszyła ich gospodarcza strona działalności Morawian. Ze zgorszeniem stwierdzali, że to „sekta komunistów albo raczej ekonomistów". Imponująca próba tworzenia wczesnokapitalistycznego gospodarstwa na zasadach komunizmu wewnątrz grupy wyznaniowej wydawała im się „wymysłem i obłudą". To, co w protestantyzmie było siłą, mającą mu w konsekwencji dziejowej dać przewagę światową w początkach dziejów nowoczesnych, było dla polskich szlacheckich wyznawców „czystego słowa bożego" gorszącym odstępstwem od nauki Chrystusa.

To, że ani katolicyzm ani protestantyzm nie potrafił stać się motorem rozwoju, przyczyną siły narodu, wydaje się być specyficzną cechą społeczeństwa polskiego. Gdzie indziej katolik wierzący w to, że on jeden wierzy „prawdziwie", stawał się misjonarzem, zagarniającym nowe światy dla siebie. W Polsce szlachcie było wszystko jedno, czy pracuje na nią chłop katolicki czy prawosławny — a nawet wolał prawosławnego, bo wtedy dystans socjalny był tym większy. Gdzie indziej protestant zwalczający „urząd miecza używający" przekształcał to w walkę z mentalnością biurokratyczną (a wtedy to znaczyło — walka z absolutyzmem monarchy), a w konsekwencji w liberalizm gospodarczy, w system, który stworzył całą erę dziejową. W Polsce walka ta przeradzała się w kwietyzm i polityczny i gospodarczy. Mentalność człowieka, który odcina kupony od cudzej pracy (czy to będzie kupon od akcji, czy zysk z pracy pańszczyźnianego chłopa — to jest socjalnie i gospodarczo to samo), była mentalnością panującą. Dyktatura polityczna jednego stanu, szlacheckiego, w połączeniu z powierzchownością religijności, z niewłączaniem jej we własny system myślenia politycznego czy gospodarczego dawała jako skutek mentalność rentiera czyli mentalność nie twórczą. Polska reformacja stawała się walką szlacheckiego rentiera, żyjącego z pracy chłopskiej, z konkurencją proboszcza katolickiego do tej samej renty. Powierzchowność katolicyzmu pozbawiała go wszelkiej siły ekspansywnej, która mogłaby się stać narzędziem w ręku polityki polskiej, a nie przeszkadzała, by był narzędziem w ręku polityki habsbursko-niemieckiej. Katolicyzm stał się siłą polityczną tylko w tych narodach, którym coś dał tu, na ziemi — jak Francja, czy Hiszpania, czy nawet Niemcy.

VIII

Jedną z pierwszych prac młodego Marxa był artykuł o prawie małżeńskim („Rheinische Zeitung", 15 listopada i 19 grudnia 1842). Uchwycił on w nim konflikt między rolą społeczną małżeństwa a wolnością jednostki. Znalazł jego rozwiązanie w tezie, iż małżeństwo winno być rozwiązane wtedy, kiedy faktycznie przestało istnieć.

Jakże płytką wydaje się w perspektywie tez młodego, dwudziestopięcioletniego Marxa dzisiejsza polska dyskusja o prawie małżeńskim. Ogranicza się w istocie do konfliktu kompetencyjnego między kościołem a państwem, a nie bada treści samego problemu. Pozostaje w obrębie tego konfliktu, który jest nierozwiązalny, gdyż obie strony wychodzą z zupełnie sprzecznych założeń — a dyskusja i porozumienie się są możliwe tylko przy identycznych założeniach.

Możliwa jest jednak nawet przy sprzecznych założeniach — dyskusja na temat ich konsekwencyj. Zgodny ze stanowiskiem kościoła kodeks cywilny austriacki przewiduje nierozerwalność małżeństwa katolików i deklaruje uroczyście w § 90, iż małżonkowie „obowiązani są do małżeńskiej powinności". Czyni z „powinności małżeńskiej" obowiązek prawny. Ale każdy obowiązek prawny polega na tym, iż można być zmuszonym do jego wykonania. Czyż kto wyobraża sobie dziś pozew sądowy, iż „zasądza się panią X. na wykonanie powinności małżeńskiej do dni 14" i komornika, który będzie ten wyrok wykonywał? Nasze pojęcia o wolności jednostki uległy tak daleko idącej zmianie, iż pewne normy prawne wydają nam się dziś — w świetle wolności jednostki — humorystyczne.

Prawo nie tworzy życia. To życie tworzy prawo. Prawo jedynie rejestruje i porządkuje to co już istnieje jako zwyczaj, konwenans, faktyczny sposób zachowywania się, układ sił społecznych. Młody Marx widział to i w swej analizie zagadnienia małżeństwa. Prawo może próbować przywrócić do życia małżeństwo już faktycznie rozbite. Jeśli mu się to jednak nie uda — musi zarejestrować fakt od niego silniejszy. Lepiej zaś i uczciwiej jest rejestrować fakty, niż tworzyć fikcje.

Konstanty Grzybowski

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Notatki angielskie

Londyn, w grudniu 1945 r.

PRZECIWPOLSKA PROPAGANDA

Sprawa przesiedlenia ludności niemieckiej, która znalazła się w granicach powojennej Polski, stała się okazją do rozpętania przez prasę angielską wielkiej kampanii antypolskiej. Zasadniczy powód zainteresowania tą sprawą nie był nierealny i nie stanowił interwencji w cudze sprawy bez bezpośredniego interesu angielskiego. Powodem był bowiem strach sugerowany tutejszej ludności, że to na nią spadnie ciężar wyżywienia wysiedlanych Niemców.

Rzecz ta była umiejętnie wyzyskana przez elementy proniemieckie i antypolskie celem wywołania fali współczucia dla Niemiec i ludności niemieckiej oraz poniżenia stanowiska Polski i Polaków zdobytego w czasie obecnej wojny.

W kampanii tej wyzyskano fakt, że Anglia posiada tylko bardzo szczupłe możliwości wyżywienia własnej ludności, której kosztem, przez zmniejszenie racji żywnościowych, mieliby być zaopatrywani Niemcy. Sprawa w ten sposób podana musiała zainteresować każdego mieszkańca Anglii borykającego się codziennie z problemem wyżywienia rodziny. Jako jedyny ratunek przed niebezpieczeństwem zmniejszenia racji tłuszczu, mięsa, cukru, wszystkiego, co otrzymuje się tylko w minimalnych ilościach, przedstawiano mu **natychmiastowe zmuszenie rządu polskiego, by wstrzymał wysiedlenie ludności niemieckiej.**

Ten ton zmuszania rządu polskiego, nakazywania mu i przywoływania go do porządku, prasa tutejsza mogła przybrać bezkarnie, mimo sympatii ludności dla obecnej Polski, gdyż na poparcie swego stanowiska miała argument tak nieodparty i nagły, że dzięki polityce polskiego rządu Anglii będzie groził natychmiastowy głód.

W tym świetle staje się bardziej zrozumiałe następujące zdanie: „wszelka dyskusja nad tym zagadnieniem jest nierealna, póki nie będzie wiadome, w jakim stopniu **pozwoli się** Polakom opróżniać niemieckie miasta i wsie w ich pędzie do Odry i Nysy". Pozwoli się — acz jest rzeczą wiadomą, że przesiedlanie ludności niemieckiej było zdecydowane na konferencji w Poczdamie.

Słowa te miały więc charakter propagandowy i obliczony nie na zastraszanie Polski albo rządu polskiego, lecz na dyskredytowanie Polski i Polaków w opinii angielskiej jako ludzi, którzy pozwalają sobie na zbyt wiele, ale których oto nauczy się bardzo szybko rozumnego traktowania własnych spraw. Z takim samym krzykiem żądano całkowitego wstrzymania wysiedleń i dania Niemcom takich warunków życia w Polsce, by nie kusił ich wyjazd do Niemiec. Z jazgotem opisywano starców, kaleki i dzieci wychudłe na szkielety, wysyłane ze szpitala bez odzieży i żywności, katowane na śmierć, wrzucane do bydlęcych wagonów bez źdźbła słomy na podłodze. Doszło do tego, że w prasie angielskiej pisało się dosłownie, że to co działo się w Polsce z Niemcami, przewyższało niemal **wszystkie cierpienia zadane przez Niemców w czasie całej wojny.** Straszono też epidemiami, dla których kanał nie będzie zaporą.

Pomocniczą rolę odegrało w tej kampanii Towarzystwo Zbawienia Europy, które rozporządzając sławnymi nazwiskami apelowało do Anglików bezustannie i w najbardziej dramatyczny sposób za pomocą wielu pism, **by sami zrzekli się części swoich racji żywnościowych na rzecz tułających się bezdomnie trzynastu milionów ofiar naszego terroru.** Tę liczbę trzynastu milonów podawano rozmyślnie, choć na brytyjską strefę po całkowitym przesiedleniu nie wypadłoby więcej niż półtora miliona.

Dyskusja na ten temat trwała długo i cała akcja przyniosła antypolskie nastroje. W stopniowaniu namiętności posunięto się aż do tak zwanego w języku sądowym „obrażania państwa i narodu", używano zwrotu **„polskie łotry"**, pisząc o „rabujących wespół z wojskiem" pociągi niemieckich uchodźców. Protestowano przeciw tworzeniu pustyni „w kraju niegdyś kwitnącym" nie wspominając, że w tym to kwitnącym kraju przygotowała się napaść. **Pożałowania godne okrucieństwo, z powodu którego miliony Niemców zostały wypędzone ze swych własnych domów, tłumaczy się nie tylko okrucieństwem zadawanym Polakom przez Niemców, ale także, że Polacy tak samo jak Niemcy są „okrutną niecywilizowaną rasą".** Taki był język propagandy prasowej.

Biadano, że wysiedlenie doprowadzi w Europie do katastrofy niewidzianej od stuleci, zaryzykowano nawet twierdzenie, że przyznanie Polsce granicy na Odrze i Nysie było nieporozumieniem i zwykłą pomyłką, że niemiecka ludność Gdańska jest tam w dalszym ciągu jego prawowitą ludnością, gdyż statut Gdańska nie został zmieniony i Gdańsk jest nadal dawnym niemieckim Wolnym Miastem. Operowano nawet argumentem, że rząd polski w Londynie nie żądał więcej niż części Prus Wschodnich i Górnego Śląska i przeciwstawiał się jakimkolwiek innym pretensjom. Grożono nam wreszcie bardzo poważnie „utratą przyjaźni angielskiej.

Kampania ta trwała jeszcze długo po wyjaśnieniu się całej sprawy. Już było powszechnie wiadome, że z Polski napływają tylko bardzo nieliczni Niemcy, że wysiedlani kierowani są na rolę w związku z przeprowadzoną w Niemczech wschodnich reformą rolną, że na brytyjską strefę przypadnie ich tylko bardzo mała ilość.

Było nawet wiadome z miarodajnych źródeł, że angielskie racje żywnościowe nie będą w żadnym razie zmniejszone. Mimo to prasa nie ustawała w podnoszeniu akcji niemieckich i obniżaniu polskich. Dziś, przy okazji przyjmowania Niemców do strefy angielskiej Niemiec, te same dzienniki, które pisały o napaściach „polskich łotrów wraz z wojskiem" na pociągi niemieckich uchodźców, piszą wstydliwie, że emigranci niemieccy oświadczają władzom angielskim, że byli **„dość dobrze"** traktowani, gdy pozostawali pod opieką polskich władz.

Do sprawy powraca się rzadko. Poważniejsze pisma traktujące przesiedlenie Niemców jako rzecz dokonaną i autoryzowaną przez deklarację poczdamską wyjaśniają, że „protesty państw zachodnich przeciw natychmiastowemu wysiedleniu Niemców nie odniosły skutku, gdyż nastrój antyniemiecki we Wschodniej Europie był silniejszy niż inne uczucia" oraz że „Polacy, bez względu na różnice ideologiczne i partyjne są zgodni w pragnieniu zabezpieczenia granicy na Odrze i Nysie".

GAFFA DYPLOMATYCZNA

Przez pewien czas przejawiały się w części prasy angielskiej skłonności zmierzające do interwencji angielskiej w wewnętrzne sprawy Polski. Jej powodem miały być ograniczenia prasowe. Wyrazem tych tendencyj była niefortunna próba protestu ambasadora Wielkiej Brytanii i sucha odpowiedź, jaką otrzymał od przedstawicieli rządu polskiego.

Poważniejsze pisma angielskie oceniają tę inicjatywę negatywnie. Tygodnik „The Economist" omawia ją najobszerniej i konkluduje, że zachodzi konieczność, aby min. Bevin zważył zdolności obecnych przedstawicieli Anglii do informowania o zagranicy. Tak pisze się tylko po wielkiej gaffie. Artykuł ten przytaczam niemal w całości.

„Jest słuszne spytać, jak dalece ten protest jest usprawiedliwiony przez fakty. Ze wszystkiego co jest wiadome o sytuacji w Polsce wynika, że odbudowa wielopartyjnego systemu postępuje tam znacznie lepiej niż tego oczekiwano. Od chwili utworzenia obecnego rządu dwie partie (P. S. L. Mikołajczyka i Stronnictwo Pracy) podjęły działalność. Pewna ilość innych grup, które były przeciwne Lubelskiemu Komitetowi, obecnie połączyła się z ugrupowaniami popierającymi rząd. Wydaje się, że wynikiem tego połączenia było utworzenie się mocnych ugrupowań politycznych. Ugrupowaniu narodowo-radykalnemu czy wprost faszystowskiemu dane było także, dość nieoczekiwanie, przybrać formy legalne i ująć swe opinie we własnym piśmie. Trzem ugrupowaniom nie jest dane podjąć otwarcie działalności politycznej. Są to: 1) tak zwane Narodowe Siły Zbrojne, które jako polski odpowiednik rumuńskiej Żelaznej Gwardii odmawiają uznania autorytetu nowego rządu i prowadzą walkę zbrojną, specjalizując się w mordowaniu masonów, Żydów, liberałów i komunistów; 2) narodowa demokracja, której działalność była mniej gwałtowna niż poprzedniego ugrupowania, ale z której łona ono pochodzi; 3) odłam partii socjalistycznej, który politycznie znajduje się w połowie drogi między grupą Arciszewskiego w Londynie i tymi socjalistami, którzy biorą udział w rządzie. Rząd warszawski bez wątpienia postąpiłby rozumnie i po myśli własnych interesów, gdyby pozwolił tym socjalistom na otwarte życie polityczne. Ale było by błędne oczekiwać, by rząd pozwolił na to samo innym grupom, gdyż dałoby im to tylko szansę legalnego przygotowania wojny domowej.

Wolność prasowa i przemówień jest w Polsce ograniczona w sposób dopuszczalny, częściowo przez układ między partiami celem utrzymania politycznego zawieszenia broni i częściowo z powodu przekroczeń urzędników. Ale nie jest ona ograniczona do tego stopnia, by uniemożliwić różnym partiom publikowanie swych opinii i branie udziału w bardzo ostrych polemikach.

Niedawno doszło do ostrej wymiany zdań między wicepremierem Gomułką i Mikołajczykiem na temat dostaw świadczeń rzeczowych dla miast, — wymiany zdań, w której bezstronny obserwator nie mógłby całkowicie odmówić racji wicepremierowi Gomułce.

Zważywszy te dane, jest rzeczą dopuszczalną spytać, z jakich źródeł angielskich przedstawiciel w Polsce czerpie swe informacje. Od dawna było kwestią czy kontakty ustanowione za granicą przez ambasady brytyjskie były wystarczająco reprezentatywne i wiarygodne, co stało się jeszcze pilniejsze, od kiedy we Wschodniej Europie dokonały się pewne zmiany socjalne, podczas gdy brytyjskie Foreign Office nie poddało się żadnym zmianom. Było by dla ministra Bevina dobrą radą, by rozważył jak najspieszniej zdolność przedstawicieli Anglii donoszenia mu w sposób wiarygodny o zmianach na terenie Europy i by rozpatrzył, czy potrafią oni odpowiednio reprezentować interesy nowej Anglii".

Bogusław Kuczyński

ARTUR SANDAUER

Filozofia Leśmiana

Eksperyment krytyczny

ZASADY

W „Uwagach o metodzie krytycznej" („Odrodzenie", nr 26) wysunąłem twierdzenie, że zadaniem krytyki literackiej jest przede wszystkim analiza formy utworu, nie dla niej samej jednak, lecz dla interpretacji ideologicznej, dla odkrycia światopoglądu pisarza. Dlaczegóż jednak badania formalne? — zapytałby ktoś. — Czemuż nie treściowe? Dlaczegóż doszukiwać się ideologii nie tam, gdzie ją stwierdzić najłatwiej: w fabule, w wypowiedziach autora i bohaterów, lecz w stylistyce, metryce, kompozycji i innych zgoła nie światopoglądowych objawach? Dlatego — odpowiemy — że w treści wyrażają się rzeczy, zamierzone przez autora; w formie natomiast jego cechy naturalne i niejako mimowolne; podobnie jak to, czego nie dopowiedziały słowa, objawia się samochcąc w gestach i czynach. I tak, jak zgodność między słowem a czynem świadczy o wartości człowieka, tak jednolitość treści i formy — o doskonałości dzieła. Wszelka natomiast ich rozbieżność, wywołana już to przez nieumiejętność wyrazu (pospolicie zwaną brakiem talentu), już to przez obłudę lub jakikolwiek nacisk zewnętrzny jest dla dzieła zgubna.

Wszystko tedy, co nie zdołało wyrazić się w treści utworu, objawia się w jego formie. Zadaniem krytyki byłoby: 1) pojęciowe sformułowanie owych milczących założeń; 2) wysnucie z nich najdalszych, nieprzewidzianych być może przez autora, konsekwencyj ideologicznych. Tak np. stosowaną nieświadomie przez klasyków starogreckich Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa w ich dramatach zasadę jedności akcji, miejsca i czasu sformułował pojęciowo dopiero w sto lat później Arystoteles w swej „Poetyce", wypełniając idealnie pierwszą z wymienionych powyżej funkcyj krytyki. Postulowana przez nas metoda, wychodząc z badań formalnych, zmierza ku światopoglądowym. Stwierdzone przez się objawy stylistyczne, kompozycyjne itp. sprowadza do wspólnego mianownika, wskazując na ogólną przyczynę, z jakiej się wywodzą; po czym odkrytą w ten sposób filozofię formalną pisarza porównywa z ideologią, wyrażoną przezeń w treści, uzyskując tym samym równocześnie obiektywną ocenę dzieła i pełny obraz osobowości jego twórcy.

Idealnym wypadkiem byłoby, gdyby krytyk — po teoretycznym poznaniu metody autora — do tego stopnia opanował ją praktycznie, by potrafił sposobem czysto rozumowym naśladować to, czego tamten dokonał instynktownie, podrobić jego styl i manierę. Byłby to wypadek intelektualnego podszycia się pod drugą osobę. Ostatecznym zatem potwierdzeniem wywodów krytyka byłby — dokonany przezeń pastiche.

TEZA: BYT

Analiza formalna: Bylejakość

Najbardziej dostrzegalną z tajemnic poezji Leśmiana jest — w całości tak jednolitej — zaskakujące zaniedbanie szczegółów. Dla powierzchownego czytelnika to słowotwórstwo nadmierne, zastępujące „spojrzenie" — „spojrzakiem" dla rymu z „krzakiem", „chłopca" — „chłopalem" dla „opału" — trąci nieudolnością. Cóż dopiero mówić o miejscu:

Rzekł Maciej do Macieja: „Umknął zmór-podrzutek!
A my ziela szukajmy! Czas nagli — i smutek"
(„Dwaj Macieje")

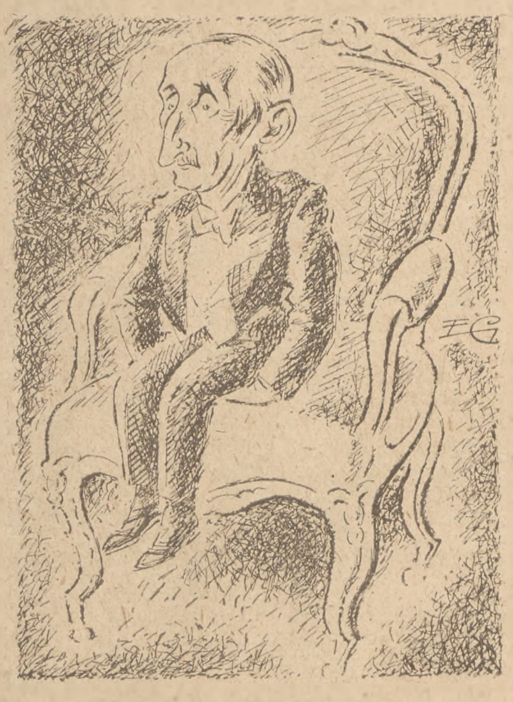
gdzie całe powiedzenie „i smutek", wyzute z jakiegokolwiek znaczenia, służy tylko do wypełnienia wiersza? Cóż o całych utworach, rozpoczętych dowolnymi słowami, by dopiero później w miarę rozwoju odnaleźć właściwy sobie kierunek? Legenda o dobrowolnie ukrzyżowanym strumieniu, zainicjowana nieokreślonym powiedzeniem:

Mrok się z mrokiem porównał, żałoba z żałobą.
Coś się chciało zazłocić, lecz zabrakło czasu

dopiero w dalszych dwu wierszach natrafia na siebie samą:

Zbył się strumień swych brzegów, powstał całym sobą,
Wyprostował się w wieczność i szedł środkiem lasu.
Szedł do krzyża w pustkowiu... itd.
(„Strumień")

Cóż mówić o niewiarygodnej ilości po całej poezji Leśmiana rozsypanych „mgieł" i „snów", tak rażących dla dzisiejszego czytelnika? Są one tu, czym w piosence wiejskiej owe fałsze, wałęsające się dokoła nuty głównej i nadające jej rozpiętość i wieloznaczność; czym w tańcu ludowym przytupywania, zaludniające ciszę między dwiema zrywającymi się melodiami; czym w muzyce pauzy: samym rytmem, oderwanym od znaczenia i wędrującym po swoich samoistnych drogach. Niedbalstwo formalne — zgubne u każdego innego — u Leśmiana jest świadome i wyrafinowane. Praca jego nad szczegółami, równie drobiazgowa i subtelna, jak u innych artystów, zmierza jednak w przeciwnym kierunku: gdy tamci starają się wygładzić je, pogodzić i zheblować do niepoznaki, on je umyślnie wykręca, upoczwarnia i — unieściśla. Jak istotne jest dla niego to pojęcie bylejakości, świadczy sama częstotliwość tego wyrazu. Podobnie jak pokrewne mu znaczeniem przymiotniki, zaimki i przysłówki nieokreślne, oznaczające dowolność, nieścisłość, „wszystkojedność" formy — stanowi on u niego rodzaj obsesji językowej: I żył niezgrabny, bylejaki („Bałwan ze śniegu"), niech swe losy przesłania bylejakim błękitem („Słowa do pieśni bez słów"), gdzie się widma migotliwie bylejaczą („Pan Błyszczyński"), By odjechać na zawsze



rys. Edward Głowacki

Bolesław Leśmian

w ten świat bylejaki („Śmierć Buddy"), wóz miotał w byle wieczność ognia rozprószyny („Eliasz"), jakaś mgła dowolna („Wieczór"), szedł skądkolwiek gdziekolwiek, byle zażyć wywczasu („Ballada dziadowska"), i odjeżdża gdziekolwiek („Żebrak"), idź-że sobie gdziekolwiek („Żołnierz"), umierali jako-tako („Ludzie"), drzewa... do zwykłych podobniały jako-tako („Pan Błyszczyński"), krył się w ptaku na prędce i krył się nieściśle („Dżananda"), czar jej nieścisły („Śnigrobek") i wreszcie — jako ukoronowanie — poemat „Żołnierz", gdzie nie forma już, ale treść cała wynika z zasady bylejakości. Drewniany, bylejak wyciosany Chrystus wespół z koślawym, przez wszystkich odtrąconym żołnierzem wędruje w nieskończoność:

Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?
To dwa hoże kulawce, dwa rzewne cudaki
Kuleją bylejako w świat niebylejaki!...
Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

Analiza treściowa: Kalectwa

Czym w formie — bylejakość, tym w treści — ułomność. Do poprzedniej obsesji: stylistycznej, dołącza się tu druga: tematyczna. Podobnie jak pokraczni bohaterowie „Pieśni kalekujących" i „Postaci": beznogi żebrak, który — odtrącony przez dziewczynę uliczną —

odjeżdża — odjeżdża — gdziekolwiek — pośpiesznie,
Turkocząc i furkocząc niezgrabnie i śmiesznie,
Odjeżdża, kalekując, w poszukiwań znoje,
W kraje przygód miłosnych, w wieczne niepokoje,

jak obłędny szewczyk-kuternoga, co to

Szyje, wpatrzony w zmór odmęty,
Buty na miarę stopy Boga,
Co mu na imię Nieobjęty,

jak zmiażdżony przez lawinę Marcin Swoboda, który, doczołgawszy się resztką sił do odwracającej się odeń ze wstrętem dziewczyny, kona wreszcie u jej stóp z łaski bożej, jak cytowany powyżej żołnierz, jak wszyscy oni — mówię — potwornością swą zyskują zbawienie, tak — przez analogię formalną — słowa Leśmiana, słowa-karły, wyrodki i dziwolągi, kalekując,

skaczą jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskakują do samego nieba —

tym razem do nieba poetyckiej harmonii.

Jest to jedna z owych postulowanych przez nas zgodności treściowo-formalnych, wynikających ze wspólnej, niejasnej być może samemu poecie, ideologii, która głosi, że — im bardziej nieudolny, pośpieszny i niejako łatany jest kształt, który dusza na siebie przywdziewa, — tym wyraźniej poprzez jego strzępy i szpary wyziera ów absolut niedościgły, ku któremu ona w swej znojnej wędrówce zmierza: bylejakość formy podkreśla jej nieostateczność i tymczasowość. Jak zgubiony w pustce przestrzeni strach polny niechlujnym furkotem ramion, gorączkowym klekotem całej swej, złożonej z kija, wiechcia i kapelusza, nieporządnej osoby stara się nadążyć nadmiernym wymaganiom wiejących nań horyzontów, tak bohaterowie Leśmiana pośpieszną nieudolnością swych każdorazowych wcieleń zaznaczają chęć przejścia do następnych.

Wnioski światopoglądowe: Im gorzej, tym lepiej

Niesłusznie byśmy jednak leśmianowską filozofię bylejakości utożsamiali z heglowską dialektyką ducha, dążącego ku coraz wyższym hipostazom. Mieści się w niej bowiem — obce tamtej — paradoksalne założenie, że — im niedoskonalszy każdorazowy kształt — tym wyższy w hierarchii. Kalectwo samo w sobie zbyt jest bezsensowne, aby nie ukazywać na potrzebę wyższego usprawiedliwienia. Chrześcijaństwo mówi: „Błogosławieni cisi!" Ale czyż dodaje: „Błogosławione i potwory!"? A tego właśnie domaga się Leśmian. Nie z katolicyzmu wywodzi się ów wątek ideologiczny, lecz z prawosławia, czy raczej z carskiej jego odmiany. Gdzież bowiem, jeśli nie w Rosji (w której spędził młodość i w której języku pisał wczesne swe wiersze Leśmian), powstał ów kult bożych opętańców i żebraków, zwanych „jurodiwymi"? Cóż, jeśli nie potrzeba apologii caratu i długotrwałej pańszczyzny, zrodziło czy może odrodziło ową — już dawno zapomnianą — myśl, że im poczwarniejsza forma, tym wyższy sens się za nią kryje? Ta, głoszona m. in. przez Dostojewskiego ideologia najzwięźlejszy wyraz znalazła w wierszu poety-ziemianina, Fiodora Tiutczewa:

Te chałupy pochylone,
Niepokaźne w polu brzózki,
Kraju ty mój udręczony,
Cierpiętniczy kraju ruski!

Nie zrozumie, nie uchwyci
Dumny wzrok obcoplemienny,
Co przeziera tak i świeci
Spoza krasy twej przyziemnej.

Dźwigający krzyża brzemię,
Stopą bosą głazy krwawiąc,
W chłopskiej szacie wzdłuż tę ziemię
Chrystus przeszedł, błogosławiąc.
(przekład mój)

Ideologia ta nie była zresztą wyłącznym wytworem ziemian. Wyznawali ją najgoręcej sami chłopi, znajdujący w niej uzasadnienie dla swej ziemskiej mitręgi. W swych wspomnieniach z dzieciństwa, spędzonego jeszcze w warunkach pańszczyźnianych, znakomity satyryk rosyjski, Sałtykow-Szczedrin opowiada o dziewce dworskiej-prorokini, która szerzyła wśród służby religię bezwzględnego posłuszeństwa wobec panów w nadziei na przyszłe tysiąckrotne zadośćuczynienie. Poeta rosyjski, chłop z pochodzenia, Siergiej Jesienin, zagadnięty pewnego razu przez Majakowskiego, czemu wciąż jeszcze chodzi w łapciach i w siermiędze, czy to może dla reklamy, odpowiedział, kuląc się, pokorniutkim głosem; „My wsiowi... my tego waszego nie rozumiemy... my już bylejak... w sukience odwiecznej powiecznej..." (Majakowski: „O poezji"). Wszędzie tu powtarza się ów mit bogumiłego mużyka. Nie znaczy to, oczywiście, jakoby Leśmian był w sensie społecznym z nim związany. Zbadaliśmy tu tylko rozwój pewnego, bardzo już w tym wypadku od swych podstaw odległego, motywu.

ANTYTEZA: NIEBYT

Analiza formalna: Przedrostki przeczące; słowianizmy

Pojęcie bylejakości rodzi się z zaprzeczenia przeczenia, z antytezy niebytu. „Nie nic" równa się „czemukolwiek"; podobnie jak w matematyce zero, podzielone przez zero, daje x, liczbę dowolną; jak w logice z negacji zdań ogólnoprzeczących wynikają zdania szczegółowo — twierdzące; jak w psychologii wreszcie — istota, zagrożona nicością, chwyta się dla ratunku — byle czego. Wszyscy znamy owe stany zamienne, kiedy staramy się myśleć, czuć, czynić cokolwiek, nie dlatego, jakobyśmy tego chcieli, lecz dla obrony przed wewnętrzną pustką. Świat i bohaterowie Leśmiana znajdują się pod jej ustawicznym ciśnieniem; stąd owa pośpieszna bylejakość ich istnienia. Nie bez kozery tak olbrzymią ilość użytych przez niego wyrazów poprzedzają niszczące przedrostki przeczenia: niebyt i bezbyt, niepodoba i nieobecnieć, niedowcielenie i niedoumieranie, niedomrocze i bezzaduma i — któż je wyliczy? Co więcej, ledwo wypowiedział wyraz lub zdanie, pośpiesza z jego negacją, tworząc rodzaj obojniaków słownych, jak: zmora — niezmora, drzewo — nie drzewo, nie wędrując wędrować, lub zdaniowych, jak: „Skakali, jako trzeba i jako nie trzeba" lub „aż ów ołtarz zlękniony, gdzie wyzłota się święci, Chciał już runąć na ziemię, lecz... potłumił swe chęci", gdzie ledwo rozpoczęta myśl cofa się, dochodząc w ostatecznym wyniku do logicznego samobójstwa.

Ta tendencja językowa nie jest jednak oryginalnym tworem Leśmiana; nawiązuje bowiem do pewnego, językom słowiańskim tylko właściwego sposobu określania rzeczy nie przez precyzowanie, lecz przez negację, przez wyrażenie swojej o nich niewiedzy. Powiedzenia „ni pies ni wydra", „koń nie koń" itp. nie nazywają przedmiotów, lecz tylko swój domysł, swoją niemożność ich nazwania. Określenia takie stwierdzają bardziej, niż obecność, ich istnienie potencjalne w naszym umyśle, to, co Platon ochrzciłby ideą, a fizyka nowoczesna za Dirakiem masą negatywną. Być może, że mglista i zacierająca kontury atmosfera zamieszkałych przez nich przestrzeni kazała dawnym Słowianom, ocieniwszy ręką czoło, wahać się raczej, niż twierdzić: „Ni to tabun ni to tuman ni to wojska". Jakkolwiek by było, w poezji pierwotnej tych ludów porównania mają najczęściej charakter przeczący: na nito, niby. Dumki ukraińskie zestawiają przez antytezę:

Oj, to nie sokoły pod niebem leciały
To kozacy-mołojcy na Carograd ruszali itp.

Podobnie „Słowo o pułku Igora":

To nie orzeł spadał na stado łabędzi,
To Bojan kładł na struny swoje wieszcze palce...)

Cecha stylistyczna, obca — o ile wiem — poezji greckiej, rzymskiej lub starofrancuskiej.

Słowianizmy Leśmiana nie ograniczają się jednak do przeczeń. Jego postawa słowotwórcza, sobiepańsko używająca najdowolniejszych przyrostków i przedrostków (odkrwawić się, dośniwać się itd.) pragnie wywołać w czytelniku złudzenie, jakoby był on umieszczony u tych mitycznych prakorzeni mowy, gdzie wszystko było dopuszczalne, gdzie stworzone świeżo wyrazy przedzierały się przez niezbadany jeszcze gąszcz gramatyk i gdzie poeta był nie sługą, lecz panem i twórcą języka.

Analiza treściowa: Śmierć

Czym w formie — negacja, tym w treści — śmierć. Zagrożeni nicością bohaterowie Leśmiana żyją naoślep, bezładnie i łapczywie jak owe „skrzeble":

Skrzeble biegną, skrzeble przez lasy, przez błonie.
Drapieżne żywczyki, upiorne gryzonie.
Biegną szumnie, tłumnie powikłaną zgrają.
A nie żyją nigdy, tylko umierają.
Umierają, skomląc, szereg za szeregiem:
Śmierć jest dla nich właśnie tym po lasach biegiem.

Cel ostateczny, ku któremu zmierzają leśmianowskie postaci, ma znak minus. Myśli o nim towarzyszy nieodłącznie niewiara weń. Istnieje pewien rodzaj wyobrażeń, z góry świadomych nieistnienia swego przedmiotu, podobnych owym snom, które wiedzą, że śnią się.

Z pola znużone wracają dziewczęta,
Wadząc spódnicą o złote dziewanny,
O których sen mój, że śnią się, pamięta.
(„Sen wiejski").

Ten przydany wyobrażeniom znak przeczenia jest dla nich zarazem klapą bezpieczeństwa, furtką otwierającą wyjście na dowolność. Można bowiem — bez uszczerbku dla prawdy — pomyśleć cokolwiek, jeśli się lojalnie przyznaje, że to, o czym się myśli, nie istnieje. Obojętne, czy odejmiemy sześć od sześciu czy siedem od siedmiu, jeśli w wyniku ostatecznym otrzymamy zero. Ucieleśnieniem owej dowolności niebytu jest dziewczyna z „Pana Błyszczyńskiego", która „nie żyła i nie zmarła", odwieczna mieszkanka umieszczonego poza życiem i śmiercią trzeciego świata myśli zaprzeczonych. Czymże jest bowiem w istocie swej marzenie, jeśli nie wyobrażeniem świadomym swej bezprzedmiotowości, ledwo powstałym a już unicestwionym przez samokrytykę? Lecz, zamiast wyrazić tę autoironię oddzielnie, jakby to uczynił np. Heine, Leśmian wciela ją niejako w akcję, czyniąc z niej właściwość samej dziewczyny, która **już z góry nie istniała.** „I nie było tych godzin, gdym jeszcze nie zginął" — mówi poeta gdzie indziej o sobie („Klęska").

Nicość — jak widzimy — kusi: daje bezwzględną swobodę ruchów. Podobnie słowotwórstwem swym cofa się Leśmian ku owemu fikcyjnemu okresowi absolutnej dowolności, kiedy to język z niebytu przechylał się w bytowanie; tendencja, której podobną znajdziemy w ówczesnych słowianofilskich prądach literatury rosyjskiej. Znakomity poeta Wiktor Chliebnikow marzył wówczas o nawrocie do pramowy, gdzie nie słowa, lecz ich korzenie się odmieniały: lis — to ten, co żyje w lesie; liść — to, z czego składa się las itp. („Słowo o L"). Owa, nie mająca równej w innych literaturach pasja nowotwórcza dwóch poetów: rosyjskiego i polskiego świadczy o pewnym, wynikłym — być może — z młodszości kulturalnej, nieustaleniu tych języków, o większym niż gdzie indziej stopniu leksykalnej dowolności.

Wnioski światopoglądowe: Ostatni schron marzyciela

W analizach powyższych połączyliśmy w jedno dwie odrębne kwestie: obsesję niebytu i archaizujących neologizmów. Ten zrost logiczny odpowiada leśmianowskiej koncepcji słowiańszczyzny: odczuwa on ją jako teren kulturalny jeszcze pusty, gdzie człowiek żyje byle jak, oddany na pastwę niezabudowanym przestrzeniom. Jest to jednak wyjaśnienie psychologiczne, a więc niewystarczalne. Aby zrozumieć przyczynę łączności tych idei, należy określić postawę społeczną Leśmiana: przedstawiciela tej bardzo szlachetnej warstwy, która, zdając sobie sprawę z bankructwa pewnych wysokich ideałów mieszczańskich, widzi w nim jednak katastrofę absolutną i kosmiczną, To, co nadchodzi, jest dla niej tylko — nicością. „Jak ustalić w niebycie byt ekonomiczny?" — pyta z ironią Leśmian w „Pejzażu współczesnym". Wiedząc doskonale, że ideały jego dawno już przestały odpowiadać rzeczywistości, trwa jednak przy nich uznając pokornie ich niedorzeczność, lecz prosząc o łaskawe pozwolenie marzenia jak mu się podoba. Rojenia te, z natury swej wsteczne, sięgają ku pierwotnej, patriarchal-

nej i piastowskiej prostocie. Słowianofilstwo sprowadza się — jak stwierdził już krytyk sowiecki Stiepanow w przedmowie do „Wybranych wierszy“ Chlebnikowa — do marzenia o samorodnej kulturze chłopskiej, czerpiącej z nieskażonych mechaniczną epoką źródeł. Leśmian zbyt wiele ma jednak krytycyzmu, aby koncepcję tę brać na serio: toteż poprzedza ją nieodłącznym znakiem ironicznego samozaprzeczenia.

SYNTEZA: DRAMAT NICOSCI

Analiza formalna: Dynamika błędnego koła

Wydawało by się, że w poezji tak bliskiej przyrodzie, jak Leśmianowa, brak miejsca dla akcji. By nawiązać intrygę, potrzeba — uczy doświadczenie tragedii greckiej — co najmniej dwóch, jeśli nie trzech, bohaterów. Jakaż jednak wymiana czynów możliwa jest między poetą a krajobrazem? Jak uruchomić — stany? Udramatyzować opisową lirykę? Akcja domaga się aktorów, pejzaże — osób działających, podmioty — orzeczeń.

Co w mgłach czyni żagiel na głębinie?
Nic, prócz tego, że żegluje.
A co wiosna w zielonej dolinie?
Nic, prócz tego, że wiosnuje.

Rozwiązanie znalezione. Zaczątek akcji rodzi się z tautologii, z błędnego koła, którego obwód zamyka się ruchem nawijającego się na własny podmiot orzeczenia. Co czyni strumień? Strumieni się („Ballada dziadowska“). Stodoła? Stodoli się („Stodoła“). Zmory? „Są zajęte przyśpieszonym zmorowaniem“ („Pan Błyszczyński“). I odwrotnie: Kto plecie? Pleciuga („Dwaj Macieje“). Śpiewa — śpiewula. Zgaduje — zgadula („Mak“).

Ta jednak, ściśle gramatyczna tautologia wystarczy, co najwyżej, do zbudowania zdania, nigdy — akcji. Toteż Leśmian tworzy cały system kompozycyjnych, a nawet psychologicznych kół błędnych, skomplikowaną maszynerię czynów i doznań pozornych. Znamy już przykłady akcji cofniętych, które, w samym zarodku trafione przeczeniem, opadają z powrotem w nicość:

Aż ów ołtarz zlękniony, gdzie wyzłota się święci,
Chciał już runąć na ziemię, lecz... potłumił swe chęci

albo też we „Wspomnieniu“ z dzieciństwa:

Przy śniadaniu patrzyłem w stół, jak w pustynię,
Śniąc, że wielbłądem... Zbójcą jestem...
A ojciec, jakby wiedząc, że wielbłąd go ominie,
Czytał dziennik ze spokojem i szelestem.

Konstrukcję logiczną tych przykładów lepiej niż jakakolwiek analiza unaocznia dowcip żydowski: „Cudotwórca szedł ulicą i usłyszał przypadkiem, jak pewna kobieta bluźni Bogu. Oburzony, stracił panowanie nad sobą: „Niech grom z jasnego nieba...“ „Mistrzu — podbiegł do niego ktoś z towarzyszących — „ta kobieta może się jeszcze nawrócić. Szkoda jej“. Namowy poskutkowały: cudotwórca ustąpił. „No, więc niech grom nie spadnie“ — zgodził się. I stał się cud: grom **nie** spadł“.

Metoda błędnego koła pozwala Leśmianowi na przypisywanie swym postaciom doznań, które, nieświadome własnego istnienia, są tym samym dowolną insynuacją poety. „Wierzył w Boga, nie wiedząc, że to Bóg“ („Wół wiosnowaty“) — albo

Tak o tobie nic nie wiem, tak cudownie nic nie wiem,
Że miłością jest ta moja — niewiadomość.
(„Pan Błyszczyński“).

albo też

I rozpadło się ciało na żal straszny do siebie
I niewiedzę o tym żalu!... I to — wszystko...
(tamże).

Te chwyty sofistyczne, rodzaj poetyckich dowcipów, gdzieindziej — w psychoanalizie — prosperują zresztą jako teorie naukowe.

Jako zasadę kompozycyjną zastosował Leśmian tę metodę w „Balladzie bezludnej“, gdzie nie forma, ale treść cała wynika z tautologicznej dynamiki. Na „rozkwitającej w bezmiar łące“ mogący się narodzić kształt dziewczęcy, nie wcieliwszy się wraca do niebytu:

Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na uboczu.
A to jakaś mgła dziewczęca chciała dostać warg i oczu.
I czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć, chce się wcielić,
Raz warkoczem się zazłocić, raz piersiami się zabielić, —
I czuć było, jak się zmaga zdyszanego męką łona,
Aż na wieki sił jej zbrakło — i spoczęła niezjawiona...

Systemem błędnych kół tłumaczy się także — równie częste u Leśmiana, jak u Schulza — dynamizowanie przenośni. Podobnie jak w cytowanych powyżej przykładach rzeczownik roztapiał się w akcji, tak tutaj — przedmiot porównany przepływa we własne podobieństwo: metafora w metamorfozę. Na tej zasadzie zbudowany jest wiersz „Przemiany“:

Mak, sam siebie w śródpolnym wykrywszy bezbrzeżu,
Z wrzaskiem, który dla ucha nie był żadnym brzmieniem,
Przekrwawił się w koguta w purpurowym pierzu,
I aż do krwi potrząsał szkarłatnym grzebieniem,
I piał w mrok, rozdzierając dziób, trwogą zatruty,
Aż mu zinąd prawdziwe odpiały koguty...

Analiza treściowa: Mitologia momentalna

Czym w formie dynamika błędnego koła, tym w treści — mitologia momentalna. Swiaty i zaświaty Leśmiana mrowią się od bożyszcz. Każde zjawisko, każdy nastrój wyłania swego domyślnego sprawcę, każdy przedmiot uzupełnia się podmiotem. Czym jest bowiem w istocie swej mit, jeśli nie dorabianiem hipotetycznych przyczyn dla stanów przyrody lub własnych? Jakiś pasterz zamierzchły, niewprawnym okiem badający strukturę zachodu, dotworzył do tych odlotów i czerwieni na horyzoncie pogoń Argonautów za złotym runem. Gdy jednak bogowie greccy mają byt niezależny od wypełnianych przez się funkcyj, gdy nawet żywiołowe rzymskie bożyszcza, ściślej od tamtych związane ze swym przyrodniczym urzędem, istnieją jednak od czasu do czasu, ilekroć są potrzebne (jak ów bożek, opiekun wschodzącego żyta, który wchodzi w życie, ilekroć wschodzi w życie) — to leśmianowskie twory, produkty jednorazowego nastroju, z nim razem powstają i giną: można by to nazwać **mitologią momentalną.** Są to — jak schulzowskie manekiny — „istoty prowizoryczne, na jeden raz zrobione, obdarzone np. tylko jedną stroną twarzy, jedną nogą, jedną ręką, tą mianowicie, która jest im w ich roli potrzebna“ (Schulz, „Sklepy cynamonowe“, str. 75). Podobnie autonomiczne są usta w „Wiśni“ lub dłonie w „Zmierzchunie“ Leśmiana. Postaci jego, na wpół tylko wychylone z niebieskich draperyj, wiatrem się kończą i oddychają jeszcze wespół z ojczystym żywiołem. Ich byt przelotny podobny jest owym światom, które ukazują roztrzaśnięte na okamgnienie wrota błyskawic.

Wnioski światopoglądowe: Fenomenologia i genetyka

Powyższe analizy dowiodły, że jednym z celów artystycznych Leśmiana jest zdynamizowanie liryki opisowej. Nie jest on tu odosobniony. Już około r. 1909 Marinetti w „Manifeście futurystycznym“, nieco później poeci rosyjscy: Burliuk, Kruczonych, Majakowski, Chliebnikow w „Policzku, wymierzonym smakowi ogólnemu“ wypowiedzieli wojnę statycznej poezji symbolistów, reprezentowanej u nas przez Młodą Polskę. Marinetti domagał się zastąpienia dotychczasowych treści sielskich — urbanistycznymi; statyki — dynamiką; przymiotników — rzeczownikami. Wielbił uderzenie pięścią, krok gimnastyczny itd. Postulaty te — zwiastuny narastających konfliktów społecznych — oznaczały zaniechanie dotychczasowej siesty lirycznej. Poeci coraz silniej odczuwali konieczność wypowiedzenia się po jednej ze stron: futuryści włoscy wylądowali w faszyzmie, poeci rosyjscy stanęli po stronie Rewolucji. Dla obcego tym ruchom Leśmiana jakakolwiek zmiana dotychczasowej tematyki była niemożliwa. Postulat dynamiki przyjął co prawda, lecz zastosował go czysto formalnie: nie wprowadzając nowych treści, udramatyzował stare. Toteż — po pierwszym, jeszcze młodopolskim jego zbiorze „Sad rozstajny“ (1912) — drugi „Łąka“ (1920) drży już ową złudną dynamiką nicości: obrót błędnego koła **rozpoczął się. Aby udramatyzować** stan liryczny, Leśmian nie łączy go z rzeczywistą, lecz z hipotetyczną przyczyną: dotwarza mu domyślnego sprawcę, dorabia niejako podmiot do istniejącego już przedmiotu. Drugi dynamizator współczesnej liryki opisowej, Przyboś, wyłania odwrotnie, — jak pisałem w nr 12 „Odrodzenia“ — przedmiot z podmiotu, skutek z przyczyny: każde. nawet najbardziej statyczne zjawisko wdziera się niejako aktywnie w rzeczywistość, zmienia ją: konary wznoszą niebo, gest oparcia uzupełnia się — laseczką z powietrza itp. U Leśmiana domyślnym sprawcą księżycowych wzruszeń jest jednorazowy twór — Srebroń. Gdzie indziej, aby ukazać ożywienie natury w akcji, tworzy mit o pociętym przez piłę-kochankę chłopcu, którego cząstki tułają się luzem po świecie:

Piersią sobie przywłaszczoną jar grabieżczo dyszy,
Uchem, wbiegłym na wierzchołek, wierzba coś tam słyszy.
Oczy, wzajem rozłączone, tleją bez połysku,
Jedno brzęczy w pajęczynie, drugie śpi w mrowisku.

Jak widzimy, poezja Leśmiana jest obroną przed przyczynowym łączeniem zjawisk — przed genetyką. Usiłuje ona wedrzeć się w głąb przedmiotów tam, gdzie materia staje się energią, dojrzeć ich wewnętrzne, wsobne dzianie się. Nie darmo tytuł pośmiertnego zbioru brzmi „Dziejba leśna“. Badania leksykalne stwierdzają u Leśmiana — podobnie jak u futurystów — skłonność do zastępowania przymiotników przez rzeczowniki, nie konkretne jednak — jak u tamtych — lecz abstrakcyjne („rozwiewisko cieniów“ zamiast „rozwiane cienie“, „mglisko słów“, „mgieł upowicie“ itp.) i do zamiany ich przez czasowniki (strumień strumieni się itd.). Bardziej zatem od cech przedmiotów pociągają go same przedmioty, bardziej zaś od nich samych ich wewnętrzna samowystarczalna „dziejba“, to, co można by nazwać dramatem ich definicji. Odpowiednikiem tej tendencji jest — w dziedzinie filozofii — fenomenologia, która usiłuje określić zjawiska w sobie, ich „właściwe co“ — jak się wyraził mistrz tej szkoły, Husserl. Rodzajem fenomenologicznej polemiki z przyczynowym ujmowaniem zjawisk jest u Leśmiana wiersz „Stodoła“:

Tyś pociosał stodołę w cztery dni bez mała,
Ale kto ją stodolił, by — czym jest — wiedziała?

Cóż z tego, że wiemy, kto pociosał stodołę, jeśli nie znamy jej istoty samej w sobie? Podobnie gdzie indziej usiłuje on ukazać nam wiatrak takim, jakim by był, gdybyśmy nie znali jego praktycznego przeznaczenia: „Czym jesteś, oglądany przez duchy z księżyca?“ — pyta. Poezja, to — według Leśmiana — widzenie, oderwane od przyczyny i celu.

Tym też tłumaczy się omawiana **powyżej** momentalność jego mitologii. Leśmian wystrzega się tworzenia mitów bardziej trwałych niż stan liryczny, dla którego wywołania powołał je do życia. Istnieją tylko po to, aby zdynamizować bezruch, lecz nie mają bytu odrębnego, nie wychodzą poza obręb samowystarczalnej definicji przedmiotu. Życia starczy im tylko na jednorazowy obieg błędnego koła.

Résumé: Samobójstwo spirytualizmu

I oto w ostatnim z wydanych za życia zbiorów Leśmiana, w „Napoju cienistym“ cały ten, złożony z kuśtykających w nieskończoność poczwar, z byle jak skleconych bożyszcz, podszyty już nicością świat Leśmianowy kona jeszcze raz — i to ostatecznie. Nie tylko byt, ale i niebyt się kończy: nawet owa dziewczyna z „Pana Błyszczyńskiego“, odwieczna mieszkanka krainy marzeń, nawet i ona ginie, choć nigdy „nie żyła i nie zmarła“. Swiaty urojone pękają i sypią się w przepaść beznadziejną. Duch nadmierny, który zabudował nicość mitami, bogami i Bogiem, odrzuca je po kolei w swych coraz dalszych wędrówkach. Wszystkie metafizyczne wcielenia, wszystkie nieskończoności i wieczności nie mogą nastarczyć temu, który idzie w ciągłą inność. Prorok Eliasz, porwany na ognistym wozie, pędząc w przepaść międzygwiezdną przelatuje mimo Boga i przekracza go, by zbadać „możliwość innej mary, niż mara Istnienia“. Pozostaje w pustce sam ze swymi nadmiernymi uroszczeniami, których ani świat ani zaświat nie potrafią zaspokoić. Jest to jedyny bodajże w dziejach literatury i filozofii atak na spirytualizm, skierowany nie z lewa, od strony materializmu, lecz właśnie z prawa — od samego spirytualizmu, który sam siebie leczy przez własny nadmiar — jak gdyby przez homeopatię. Z ruin bogów i Boga, marzeń i wcieleń wyłania się — jako wyraz ostatecznej mądrości Leśmiana — bezbożny humanizm „Dwóch Maciejów“, którzy zdobywszy ziele nieśmiertelności obdarzają nim Boga, by umrzeć — sami — jednoznacznie i bezpowrotnie — po ludzku. Najwyższą wartością jest człowiek, który ginie, stworzywszy wartości trwalsze od siebie.

Dotrzymanie obietnicy

Załączam powyższy wiersz, który, utrzymany — zgodnie ze sformułowaną na początku tego studium zasadą — w stylu Leśmiana, może zarazem służyć jako jego epitafium:

W sen się zamienił ten, co śnił,
A ten, co pytał, w znak pytania.
Nie stało sił, by być, czym był,
By wytrwać sobą do świtania...

I tak dalej.

Artur Sandauer

JAN TAŃSKI

O nowe metody w krytyce literackiej

Mądry Tołstoj powiedział raz rozważając zagadnienia sztuki: „Sztuka przestaje być sztuką wtedy, gdy do rozumienia jej i przeżywania potrzebna jest nauka“. Słusznie. Wszelkie wytwory artystyczne powinny działać na odbiorcę wyłącznie własnymi środkami, a mianowicie wyrazem artystycznym, zdolnym wywoływać w nim stany estetyczne. Metoda i środki, jakimi posługuje się nauka, obliczone są na sugerowanie pewnych sądów i przeświadczeń i sięgają w inną zupełnie sferę świadomości człowieka. Stany estetyczne nie mogą być wywoływane (zasadniczo) środkami pozaartystycznymi. O ile jednak musimy się uciec do tego chwytu pomocniczego, stan estetyczny wystąpi jako zjawisko wtórne w swym kształcie zubożonym i zniekształconym i właściwie uniemożliwi czyste estetyczne przeżywanie.

Istnieją jednak takie zestroje wyznaczników, które same przez się nie są obliczone na artystyczne oddziaływanie, choć zdolne są człowieka bardzo silnie estetycznie wzruszyć i pobudzić. Krajobraz, hala maszyn, wielkie miasto, ideologia, procesy przemian społecznych — to wszystko „nie istnieje“ po to, aby artystycznie oddziaływać na świadomość człowieka, choć z codziennego literackiego doświadczenia wiemy dobrze, że oddziaływają i wchodzą do sztuki już nie jako przedmiot (a więc jako zjawisko pozaartystyczne), ale jako artystyczny temat. Przykładem może być twórczość Prusa, Żeromskiego, T. Manna, Szołochowa, Majakowskiego, Turgeniewa. Inna rzecz, że temat to artystycznie przetworzony „przedmiot“, a więc nowa, inaczej przekształcona rzeczywistość. Ale nawet sam przedmiot w tej postaci, jaką in concreto posiada, a więc przyroda, „topografia“ człowieka, zwierzęcia czy rośliny, maszyna i twory geometryczne działają na nas same przez się: spełniają nieraz funkcję gotowych dzieł sztuki.

W wypadkach tego rodzaju działa zawsze prawie — często podświadomie przyjmowana — zasada substratu i zastępstwa. Wytwór dany oglądamy tak, „jak gdyby“ obliczony był on na artystyczne oddziaływanie lub też jego funkcja pozaartystyczna uznawana jest jako coś równorzędnego z funkcją celowości estetycznej. Doskonałość kompozycyjna staje się wystarczającym dla nas sensem istnienia danego wytworu czy zjawiska.

Jeśli idzie o sztukę literacką, to tutaj szczególnie destrukcyjnie działa odwieczne, a często przeklinane i przeklęte prawo komentarza. Nie mam tu oczywiście na myśli komentarza ad usum scholae (przy czym scholarem nazywam każdego, kto pragnie wydobyć z dzieła sztuki pewną sumą właśnie wiadomości „realnych“ i przeświadczeń; termin ten nie jest wcale obraźliwy lub lekceważąco pogardliwy: określam nim jedno z możliwych nastawień w stosunku do dzieła sztuki). Wolno nam naturalnie żądać od dzieła literackiego (czy malarskiego), aby odkryło przed nami swe realia przedmiotowe; jednakże znajomość realiów nie może być conditio sine qua non estetycznego przeżywania. Rzeczy te muszą być zupełnie niezależne od siebie, tak jak są niezależne w „Boskiej komedii“, w „Fantazym“, w „Beniowskim“, w „Eugeniuszu Onieginie“... Schola i contemplatio to zjawiska, które nie mogą być wiązane ze sobą na zasadzie przyczyny i skutku.

Efekty tego rodzaju, które służą formowaniu stanu „contemplatio“, stara się zbadać stojąca od dosyć niedawna na usługach teorii literatury i krytyki literackiej tzw. „stylistyka syntetyczna“, będąca unifikacją metod i osiągnięć stylistyki lingwistycznej i stylistyki „wyrazu“. Ciekawe próby zastosowania tej pełnej stylistyki do badań literackich nad dziełem jednostkowym, związanym jednakże ściśle z podglebiem socjalnym, dali w swych pracach uczeni rosyjscy, stylistyk Winogradow i teoretycy literatury Timofiejew i Pospiełow. W poszukiwaniach tych, bardzo płodnych i naprawdę przyszłościowych, idzie o odsłonięcie poprzez materiał językowy tego wszystkiego, co zawiera w sobie język poetycki, a dalej w konsekwencji świat artystyczny danego dzieła literackiego. Stylistyka syntetyczna obnaża tajnie „estetycznej rzeczywistości“ dzieła sztuki rozplanowując jasno i celowo wielowarstwowość sfer znaczeniowych „słowa“: realną, etymologiczną, psychologiczną, intencjonalną i obrazową. Końcowa metoda, to również dążenie do syntezy, jaką jest jednoznaczne zinterpretowanie i określenie dzieła sztuki literackiej jako językowego wyrazu pewnych sugerowanych treści.

Okazało się, że ta nowa stylistyka oddać może krytyce literackiej olbrzymie usługi. Metoda tej dyscypliny prowadzi do tego, że opisanie i nawet ocena dzieła literackiego może się zupełnie dobrze obejść bez wszelkiej pozaliterackiej gadaniny i — co więcej, — potrafi najściślej związać opisywane dzieło literackie z tym tłem socjalnym, z jakiego dzieło to wyrosło. Badania literackie potwierdzają w danym wypadku w zupełności wyniki poszukiwań i określeń socjologicznych. Da się to najpełniej zauważyć przy badaniach powstawania i zamierania pewnych gatunków literackich w takich właśnie, a nie innych epokach historycznych, równolegle z takimi właśnie a nie innymi procesami przemian społecznych. W dociekaniach ściśle estetycznych, (a nie tylko estetyzujących!), stylistyka syntetyczna najpełniej tłumaczy realną przyczynę estetycznych przeżyć. I nie potrzebuje w tych wypadkach tzw. komentarza rzeczowego.

Przykładów dostarczyć można z każdej epoki literackiej. Ot choćby taka fraza ze wspaniałego monologu Kassandry z Kochanowskiego „Odprawy posłów greckich“:
„Matko, ty swoich dziatek nie płakać będziesz, ale wyć będziesz...“.

Uczony komentarz powiada nam, że Hekuba po śmierci swych dzieci zamieniona została w sukę i wyła z żalu nad tragicznymi mogiłami. Wszystko to prawda, bo tak mówi mitologia i to Kochanowski miał zapewne na myśli. Ale cóż z tego, skoro **w utworze nie ma mowy** o suce wyjącej, ale **o wyjącej matce!** Komentarz rzeczowy (słuszny) sięga w sferę pozaartystyczną i mówi o tym, co nas zupełnie nie obchodzi. Co więcej, komentarz tego rodzaju niweczy ekspresyjną siłę frazy wierszowej i osłabia nasze przeżycie. Przecież suka wyjąca, to zjawisko naturalne i po prostu „przyrodzone“. Ale wyjąca matka, to tragizm w swej najbardziej wstrząsającej formie. Wystarczy sięgnąć w problem zazębiania się sfer znaczeniowych tylko i wyłącznie poprzez materiał językowy, odrzucając precz cały balast wiedzy mitologicznej, aby doznać estetycznego olśnienia i przeżyć głęboko tę artystyczną rzeczywistość, która tak długo zamknięta była w niepoznawalnej głębi.

Pełna wiedza o literaturze domaga się nowej metody. Nowa stylistyka oddać tu może wielkie i pobudzające usługi.

Jan Tański

MICHAŁ RUSINEK

Droga po szronie*)

Pod nami w głównej sztolni widać trzy błyski lamp, koniec szychty. Upragniony sygnał przelewa się w dłonie pierwszym uczuciem ulgi. Jeszcze szarpie się w rękach mechaniczny świder, ale nie ma już prawa wysysać z mięśni niezbędnego mu naporu.

— Koniec szychty. Rzuć już świder — mówię do Wysockiego.

Wysocki nie słyszy. Warkot trzydziestu świdrów bije się jeszcze w uporczywym zmaganiu ze skałą. Oparte na brzuchach dłuta prują ostrymi łukami po nienawistnym piaskowcu. Wyrwany z wiekowego uśpienia kamień mści się rzniętym, bolesnym rozpryskiem okruchów i złomów. Rzucany w dół do głównej sztolni bębni głucho na gumowej taśmie, jak głuchym jest stuk buta na martwym, zapadniętym brzuchu.

Wysocki jest już chudy całkiem. W załamaniach żeber leżą mu smugi rudej gliny. Rozkraczył nagie stopy w piachu, ale mimo to świder pomiata nim w prawo i lewo. Resztki mięśni trzepią się na nagim ciele, próbując nadaremnie uciec od nieszczęsnych kości. Panuje nad tym wszystkim tylko twarz posypana szarym piaskiem i czujne, wpatrzone w koniec dłuta oczy.

— Staszek nie widzisz, koniec szychty.

Wezwanie jest już zbyteczne. Właśnie zamknięto dopływ zgęszczonego powietrza i same milkną rozwścieczone młoty.

We wszystkich sztolniach zatrzymują się gumowe, niestrudzone taśmy. Stają podziemne lokomotywy. Tylko wózki kopalniane, bliższe wylotów wydzierają się jeszcze pędem z kwaśnego zaduchu podziemia na wolność.

Po wyżłobieniach tuneli biegnie już ku nam przejmujący okrzyk kapomanów.

— Rella komando antreten!

— Negrelli Komando antreten! Stuag Komando, antreten!

Ciemność dalekich tuneli roi się pasiakami. Biegnie się szybko po szynach i progach na przemian przez piach i zaropiałe grzęzawiska gliny. Biegnie się szybko, bo zdradliwe jest wnętrze kamieniołomów, gdzie ściany biją gumami a przekleństwo syci się cudzym strachem.

Wysocki biegnie najszybciej. Tak samo jeden z pierwszych ucieka stąd Ścibor, szewc z Wąskiego Dunaju o płaskiej twarzy Chińczyka. Boją się wszystkiego naokoło. Gdy widzą zielony mundur z podniesionym drągiem, kości ich kurczą się w pasiastą, toczącą się rozpaczliwie grudę.

Na dworze robi się już szaro. Dzień wstaje. Mgły dymiące z Dunaju podchodzą lękliwie ku wylotom sztolni. Smugi szronu tężeją na ławicach piasku.

— Coraz zimniej — patrzy na swoje nogi Wysocki. — Nikt tego nie przetrzyma.

Cóż mu powiedzieć. Chyba pokazać na idącego obok Costavela.

— Patrz, ten Louis jakoś sobie radzi.

Louis Costavel ma na lewej stopie wyprostowany kawałek rynny, do prawej przywiązuje właśnie drutem drewnianą podeszwę z resztką buta.

— Nic, wolę boso, może mi jutro dadzą buty.

Kolumny stoją nieruchomo w piątkach, szron taje pod stopami. Kordony są już gotowe. Psy gończe na uwięzi chłoną nozdrzami mgłę nasiąkniętą brudem i parującym potem.

Liczy się skwapliwie nieruchome piątki.

— Mützen ab!

Zdarto na rozkaz czapki. Błyszczą na czaszkach golone od czoła do ciemienia pasy.

Ujadają meldunki kapomanów.

— Rella Komando, zweihundertfünfzig Häftlinge.

— Stuag Komando, dreihundertfünfzig Häftlinge.

I tak dalej, Hofman, Makula, Negrelli, potężne firmy niemieckie handlujące żywymi szkieletami.

Liczą i liczą. Wyczerpane nocną pracą kolumny czekają niecierpliwie na wynik. Można przecież tak stać trzy godziny, sześć lub nawet i dwadzieścia cztery.

— Einhacken!

Czyli, że zgadza się, ruszymy. Kolumny sprzęgły się mocno rękami, „zahakowały".

Nie dość jest psów gończych i szpaleru karabinów, trzeba jeszcze trzymać się pod ramiona, żeby nikt nie uciekł.

Zaczyna się marsz powrotny. Ein zwoo, ein zwoo, ein zwoo. Błoto jest zimne pod stopami lecz miękkie. Potem jest żwir suchy lecz twardy, a potem droga ku górze zimna, stroma i twarda.

Stąd widać daleki koniec kolumny.

— Ilu niosą? — pyta się zawsze Wysocki.

Francuz Costavel stuka blachą i deską po błocie, zawsze liczy. Jest zresztą ze wszystkich nas najwyższy.

— Czternastu.

— Nie dużo.

Na końcu kolumny niesie się codzień trupy poległych w pracy. Ułożeni wysoko na noszach kołyszą sterczącymi nosami. Zwisające, niebywale długie ręce machają lekceważąco przed oczyma strażujących esmanów. Daleko na łąkach przy Dunaju ktoś przykłada dłonie do twarzy, próbuje dojrzeć jak to wyglądają trupy owych uwięzionych bandytów, ale jakże może widzieć stamtąd oczy zmarłych nieczułe i wyschnięte, patrzące tępo w wyblakłe niebo nad gruszami. Jakże może dojrzeć kiwające w zadziwieniu głowy zmarłych, szukające Boga na niebie, skąd ma On patrzeć cierpliwie na wlokącą się kolumnę.

Trupów dziś nie dużo. Drukarz Costavel gwizda po cichu piosenkę z rodzinnego Grenoble. Zdaje mu się wtenczas, że układa rozrzucone czcionki w kaszcie.

Wysocki ucieka bosymi stopami przed blachą i deską Costavela.

— Uważaj a nie śpiewaj, ty łamago Francuzie.

Ale inni lubią, sam Wysocki też lubi, gdy Costavel nuci pod nosem.

— Więc gwizdaj dalej Costavel!

Inżynier mierniczy Stefan S. wlecze się koło mnie na samym brzegu kolumny. Raz po raz patrzy trwożliwie na zwisające kolby esmanów i przyciska się nie wiem po co. Co chwila zderzają się nasze zardzewiałe puszki z konserw, przywiązane drutem do paska. Dlaczego do pioruna nosi ją na prawym boku i dlaczego nie myje jej po obiedzie piaskiem? Z puszki cuchnie wczorajsza brukiew i kiedysiejsza brukiew.

Stefan nie myśli o zardzewiałej puszce, myśli o czym innym.

— Widzisz — mówi przyciskając się bardziej — jeszcze są liście winorośli na tym domu. Miałem takie samo wino przy leśniczówce w Baranowiczach. Codzień moje dzieci...

Nie mam okularów, więc nie widzę winorośli rozczulających Stefana. Widzę jednak dobrze jego twarz zmarniałą, zakutą w długie krechy. Dlaczego wiecznie tęskni?

— Nie mów wciąż o rodzinie i dzieciach, Stefan, to cię zabije. Myśl o tym, żebyśmy za bramą zaraz po „Mützen auf" skoczyli pierwsi do kotłów z zupą. Jak się pośpieszymy, zdążymy się dzisiaj umyć. Ty się nie myjesz chyba od dwóch tygodni.

— Nie mogę, mam świerzb i rany na nogach. Ropa się leje i przysychają mi gacie.

Choćbym mu radził nie wiem co, Stefan nie przeżyje. On się już nie myje. Wiem, że ma ciało obrośnięte w cement i cały jest w kolorze brudnego muru. Rzuca się na zupę, ale sama zupa to jeszcze nie jest życie. Wiem, że tak jak Wysocki i szewc z Wąskiego Dunaju, wszystkiego się boi. Dźwiga nadmierne bele i kamienie ponad wytrzymałość człowieka. Boi się oszukać Niemców lżejszym kamieniem, dla pozoru na sztorc postawionym. Boi się odpocząć kilka minut w latrynie i nie umie nabrać kapomanów przy borowaniu skały, tylko pruje świdrem na całą parę.

Powiem mu jeszcze raz na ostatek:

— Mówię ci, myj się i bij wszy po szychcie. Nie żałuj na to czasu.

— Nie potrafię, sypiamy pięć godzin dziennie.

— To nic, będziesz spał krócej, ale nie będziesz miał ran od wszy na brzuchu.

Stefan dostaje na chwilę kolorów.

— Tak zrobię, tak zrobię. Ja chcę żyć, ja chcę żyć, gdy pomyślę o swojej żonie...

Mijamy domki wymarłe i tunel stojący okrakiem na rozmokłym grzęzawisku. Teraz jest zakręt, brzeg lasku i rozkaz jak zwykle w tym miejscu „biegiem piątkami do góry", żeby kogoś nie urzekła bliskość lasku. Trzeba utrzymać „einhacken", pilnować rzegotających puszek z konserw i ginących w błocie resztek obrośniętych nim butów.

— Einhacken, schnell laufen!

Mały szewc z twarzą wyschniętego Chińczyka walczy z błotem, odrywa z chciwej gliny swe buty. Gdy przeskakujemy kolejowe tory, cieszy się jak dziecko.

— Dziś chyba nie dadzą cegieł.

Chyba nie dadzą. Dziennej szychcie dali, to może nam nie dadzą. Ale wysoki Costavel widzi czoło kolumny, przerywa piosenkę o swej Mignon z Grenoble.

— Sacrébleu!

Rozumiem. Czoło kolumny skręca na prawo do wagonów. Poniesiemy cegły. Nie wystarczy siedemnaście godzin pracy i drogi, do góry musimy iść obciążeni. Cegły niesione oburącz na piersi wycisną resztkę pulsującej nadziei.

Szewc patrzy śmiesznymi oczami Chińczyka na swoje obolałe nogi, na ostre kostki cegieł, niby domino z baśni wielkoluda. Mówi coś, różowy pył cegły dusi go i ulatuje mu z przed nosa.

— Ja już dziś tego nie uniosę.

— Uniesiesz.

— Nie uniosę.

Uniesiesz. Na Wąskim Dunaju czeka żona i dzieci. Nie na Wąskim, bo go nie ma, ale może na Pelcowiźnie, gdzie u stóp torów kolejowych mieszka szwagier i żona. Przenieśli się pewnie po powstaniu. O nich myśl, gdy niesiesz kamienie i cegły, gdy borujesz skałę. Przyjdą i pomogą, poprzez druty, wachy i psy gończe, uśmiech ich przeleci ponad gumami kapomanów.

Ale znów nie pomyśl o nich, gdy odpoczywasz lub zasypiasz. Wtedy ci odbiorą sen i odpoczynek. Wydyszysz i wypłaczesz duszę. Zresztą ty nie jesteś Stefan. Stefanowi nie wolno nigdy o tym myśleć. Nie udźwignie wtenczas elektrycznego młota, nie uśnie ani nie strawi obierek. Dostanie tylko wymiotów i jak mówi, kataru żołądka.

Naprzód, chłopcy. Costavel próbuję gwizdać nawet z cegłami, ale jego Mignon ucieka mu z ust na najbliższym zakręcie. Cegły nabierają wagi.

Jeszcze słychać w tyle porozumiewawcze szepty. Jugosłowianin Igo umawia się z wysokim ślusarzem o gwoździe. Sześć gwoździ zrobionych z drutu za całą ósemkę chleba.

— Potrzebuję do obcasa, czy wytrzymają?

— Wytrzymają, człowiecze.

Do tego potrzeba jeszcze skóry. Kawałek podeszwy znalezionej w błocie ma Norweg, ale żąda całej ćwiartki chleba. Obcas gumowy ma znowu Wiktor, przezywany Dolewką.

— Dolewka, ile chcesz?

— Trzy papierosy, lub oddasz mi twoją miskę zupy. Patrz, pierwszorzędny obcas.

Nie wiem, czy dobiją targu, papierosy czy zupa. Cichnie wszystko.

Już nikt nic nie mówi. Idąca kolumna przytłacza się pod cegłami ku ziemi. Jesteśmy już wysoko na górze, daleki klasztor w Melku rozbłyskuje żółtymi ścianami. Słońce wstaje, zaczyna się ranna, najzimniejsza pora. Nie ma już domów ani lasu, mokry wiatr wyrywa się z mgławych wysp na Dunaju i dopada kolumny. Pomiata wleczonymi łachmanami i dmucha różowym pyłem cegieł w oczy.

Malutki szewc podobny do Chińczyka płacze. Łzy jego siadają na cegle czerwonymi, krwawymi plamami. Costavel oczywiście nie śpiewa. Dolewka nie sprzedaje obcasa, ani ślusarz swoich gwoździ. Idący za mną ojciec i syn, piekarze ze Starego Miasta, dyszą ciężko. Ojciec ciężej, bo wziął synowi jedną cegłę jeszcze na samym dole i chyba oddałby ją teraz z powrotem. Cicho jest, bo psy nawet wloką pyski przy ziemi a esmani wtulili łby w podniesione kołnierze, zakutani cali w długie płaszcze. Kolumna płaszczy nie ma, dlatego lżej iść po szronie z cegłami. Cicho jest i nie skrzypią nawet zgniłe, rozdeptane liście.

Tylko głos jeden daleki krzyczy jednostajnie.

— Ein, zwoo, ein, zwoo, ein, zwoo!

Na zakręcie jest glina i kałuża, szewc Chińczyk wywraca się i leży w błocie. Jak go wziąć, skoro dziś mamy cegły na rękach. Odepchnięty butami pozostaje z rozrzuconymi cegłami na liściach. Ein zwoo, ein zwoo...

My pójdziemy jeszcze dalej. W bramie obozu będzie rozkaz „Achtung" i czapki zdjąć prawymi rękami, bo do lewych przełożymy cegły.

Wejdziemy w obóz walczyć dalej w każdej sekundzie o życie, uciekać każdej chwili od śmierci.

Choć wiemy wszyscy jedno. Śmierć u nas jest cicha i lekka. Nie wie, co to jest jęk i westchnienie. Nie umierali przecież tak głośno jak muchy. Mucha wpuszczona do gorącego klosza lampy bzyka i walczy z otaczającym ją piekłem i niewolą. Człowiek zamknięty w piekle i niewoli ginie ciszej niż mucha. Stefan umarł z łyżką zupy w ręce. Jeszcze jadł, bo mówili: — Jedz, jedz, to nie umrzesz. Umarł, bo jadł do ostatka. Rosjanin Iwan Piotrowicz umarł z ósemką chleba na derce. Miał trzy wyschnięte ósemki z całego tygodnia i umarł, bo nic nie jadł. Chłop Wójcik spod Skierniewic czekał dogorywający nie na śmierć, ale na kawę. Zanim przynieśli miskę, ucichło mu serce, a tylko oczy patrzyły na drzwi baraku, czekały na ową kawę. Wysocki umierając mówił nie o śmierci, ale o zakopanych na Grójeckiej papierach. Dolewka i Łotysz wróżbita umierali razem na kocu w cichym strachu, bo czuli, że oddają przedśmiertny kał na derkę, a za takie rzeczy biją. Farmer, żywiciel maquis spod Tuluzy sprzedawał przed śmiercią pasek za ósemkę chleba. Inni nie chcieli umierać na derce, to umierali w latrynie. Codzień widziałeś trupy siedzące na sedesach. Mieli nogi rozkraczone i głowy wrzucone między kolana jak pijacy zarzygani na śmierć w skręcie kiszek.

Śmierć była lekka i cicha.

Michał Rusinek

*) Fragment książki „Z barykady w dolinę głodu".

W poprzednim numerze 1 (58) „Odrodzenia" z dnia 6 stycznia 1946: **Mirosław Żuławski:** Wracam z Pas de Calais. — **Bogusław Kuczyński:** Notatki angielskie. — **Marian Promiński:** Knajpa, dom, cmentarz. — **Józef Andrzej Frasik:** W cieniu śliwin. — **Władysław Machejek:** Bezdroże. — **Tadeusz Różewicz:** Słońce. — **Grzegorz Timofiejew:** Życiorys. — **Antoni Bolesław Dobrowolski:** W rocznicę wynalazku czołgu. — **Jalu Kurek:** O nowe drogi w kinematografii. — **Władysław Broniewski:** Bania z poezją. Powieści poetyckiej część pierwsza. — **Julian Przyboś:** Na linii poetyckiej. — **Stefan Flukowski:** Naukowy humanizm żywą wiarą. — **Henryk Vogler:** Między prywatną a społeczną własnością. — **Wacław Kubacki:** Drugi list z Poznania. — **Wilhelm Mach:** Ślad Syzyfa. — **Tadeusz Dobrowolski:** Wystawa niezależnych w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. — **Jan Kott:** Bardzo dziwna powieść o polskiej partyzantce. — **Tadeusz Breza:** „Masław" Zawieyskiego. — **Krystyna Kuliczkowska:** Przegląd czasopism dla dzieci. — **Irena Barowa:** Bibliotekarstwo praktyczne. — **zb:** Przegląd prasy. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia koncertowego w Krakowie. — Korespondencja (**Irena Michalczyk**). — 8 ilustracyj (w tym reprodukcje prac **Adama Marczyńskiego, Zbigniewa Pronaszki i Zygmunta Radnickiego**). — 12 stron.

Fakty i zagadnienia

PICASSO

W nr 1 „Pensée" Claude Morgan rozważa przyczyny niepopularności Picassa wśród szerokiej publiczności:

„O wiele łatwiej" — pisze on — „strawić Matisse'a, który kontynuuje tradycje najczystszej sztuki francuskiej". Cassou powiedział o Matisse'ie, że stosunek jego do Cézanne'a, Gauguina i Van Gogha jest taki, jak w dziedzinie literatury — Paula Valéry do Mallarmégo. „We wszystkich swych wyskokach, we wszystkich wypadach w nieznane" — pisze Cassou — „Matisse zachowuje równowagę. Nie daje się uwieść pokusie czystego zdobnictwa. Ani też pokusie geometrii i abstrakcji. Mimo to dokonuje pewnych geometrycznych uproszczeń i umie w paru pociągnięciach uchwycić istotę przedmiotu. Sztuka Matisse'a łączy geometryczne uproszczenia z wspaniałością gwałtownych i żarliwych kolorów; toteż jest łatwo dostępna dla dzisiejszej publiczności francuskiej".

Picasso natomiast zmusza ją do nowego wysiłku. „Obrazy jego" — pisze Robert Desnos — „nie są rozrywką, wymagają uwagi i koncentracji". „Wielu ludziom" — dodaje Morgan — „obce jest malarstwo Picassa, jego wizje, poszukiwania i ciągłe wynalazki... Niejednego ze zwiedzających wystawę jesienną drażnią twarze Picassa, widziane równocześnie en face i z profilu. Pamiętam obraz Picassa przedstawiający staruszkę (rzecz dzieje się w okresie Guerniki) skręcającą się z bólu. Ta kobieta ze swym podwójnym obliczem, uchwyconym en face i z profilu, nawiedza mnie i nie mogę myśleć o cierpieniach uciśnionych narodów, by nie przypomnieć sobie tego wspaniałego rysunku".

FRANCE

We Francji odbywa się obecnie druga — i prawdopodobnie ostateczna — rewizja twórczości Anatola France'a. Gdy dawniej zarzucano mu dyletantyzm, jałowy sceptycyzm, ciasnotę smaku, obecna generacja dostrzega w nim przede wszystkim walczącego o postęp humanistę.

„Po wybuchu afery Dreyfusa" — pisze o nim René Maublanc w nr 1 „Pensée" — „ten dyletant rzuca się w wir walki politycznej. Odwraca się od tych, z którymi łączyły go dotąd najściślejsze węzły, ponieważ dostrzega w nich drażniący go egoizm, i zbliża się do ludzi, od których dzielą go zamiłowania artystyczne i dyletanckie przesądy, do Jaurèsa, do Zoli i przywódców syndykalizmu, ponieważ kipi tym samym, co oni, oburzeniem i ma to samo poczucie ogólnoludzkiego braterstwa.

Odtąd Anatol France z odwagą i umiarem bierze udział we wszystkich społecznych wydarzeniach świata: występuje w obronie Ormian, w obronie rewolucjonistów rosyjskich z 1905 roku, rewolucji październikowej. On, który od pierwszych lat XX wieku był socjalistą, po Rewolucji Październikowej przechodzi do komunizmu, ponieważ — pośród ogólnego niezrozumienia, kłamstw i oszczerstw dojrzał prawdę dnia jutrzejszego".

INTERPRETACJA NAUKI WSPÓŁCZESNEJ

„Pensée" zamieszcza w nr 2 odnalezioną w papierach pośmiertnych niezwykle ciekawą polemikę Jacques Solomona (który zginął z rąk gestapo), skierowaną przeciw idealistycznym (ściślej mówiąc — konwencjonalistycznym) interpretacjom nauki współczesnej, wysuniętym przez uczonego Gastona Bachelarda. Jacques Solomon polemizuje z konwencjonalistyczną koncepcją Bachelarda głoszącą, że każda logicznie zbudowana teoria naukowa jest tym samym prawdziwa. Bachelard pisze mianowicie w związku z wprowadzeniem przez Diraca koncepcji masy negatywnej:

„Typowa dla nowoczesnego ducha naukowego jest filozofia dialektyczna polegająca na pytaniu „dlaczegożby nie?" Dlaczegożby masa nie miała być negatywna? Jaka zasadnicza modyfikacja teoretyczna mogłaby usprawiedliwić pojęcie masy negatywnej? Przez jakie eksperymenty można by ją odkryć? Tak tedy realizacja wyprzedza realność... Należy [illegible] naturę, aby rozwijała się wraz z rozwojem naszego umysłu".

W odpowiedzi na to Jacques Solomon zauważa, że nie każda prawidłowo zbudowana koncepcja jest tym samym prawdziwa. „Tak np." — pisze on — „parę lat temu Dirac zaproponował transformację matematyczną swoich słynnych równań, tak udatną, iż doszedł on do wniosku, że dziwnym było by, gdyby natura nie skorzystała z tak naturalnego uogólnienia". Wysnuwał tedy wnioski z tych nowych równań i doszedł nawet do sensacyjnej konkluzji, że obok dodatniego i ujemnego elektronu powinny istnieć bieguny magnetyczne wolne, dodatnie i ujemne. Otóż podobnych biegunów magnetycznych nie odkryto: tym samym uogólnienie Diraca, jakkolwiek „naturalne", zostało przez samego twórcę odrzucone jako błędne. O prawdzie w fizyce decyduje zatem ostatecznie i jedynie doświadczenie.

Z DZIEDZINY NAUKI

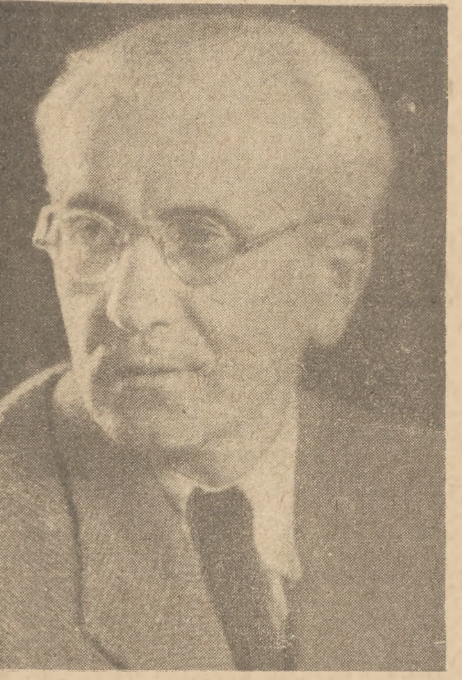
W „Pensée" (nr 2) Daniel Chalange, wspominając o odkryciu nowych systemów planetarnych w obrębie Drogi Mlecznej i o prawdopodobieństwie istnienia miliardów im podobnych, pisze: „Już dziś można przewidzieć odpowiedź na palące pytanie: czy życie organiczne istnieje na innych planetach? Należy przypuścić, że wśród niezliczonej różnorodności warunków fizycznych, które panują na planetach, dość częste bywają takie, które pozwalają na powstanie i rozwój życia".

W nr 3 „Pensée" Jean Baby podejmuje polemikę z wywodami Paula Valéry skierowanymi przeciw historii jako nauce. „Historia" — pisał Valery — „jest jednym z najniebezpieczniejszych produktów chemii intelektu... Podsyca marzenia, upaja narody, podsuwa im fałszywe wspomnienia... jątrzy ich dawne rany, dręczy je w ich odpoczynku, podtrzymuje w nich manię wielkości i manię prześladowczą". Na podstawie historii można wykazać, co się komu żywnie podoba... Nie uczy ona niczego, bo zawiera wszystko i na wszystko podaje przykłady".

„Gdyby historia rzeczywiście nie miała innych zadań" — pisze Jean Baby — „należało by się jej wyrzec i bezcelowe było by umieszczać ją w ogóle w programach szkolnych. Krytyka Paula Valéry byłaby usprawiedliwiona. Lecz historia nie jest zgoła tą chaotyczną zbieraniną wiadomości, jaką się wpaja dzieciom. Historia jest wiedzą, która pozwala zrozumieć znaczenie i wagę zdarzeń współczesnych i minionych. Wypadki polityczne, teorie, wynalazki, dzieła artystyczne można zrozumieć tylko na tle ewolucji historycznej, która je zrodziła. Innymi słowy, każdy objaw, jaki chcielibyśmy zanalizować, konstytucja, wojna, dzieło sztuki, technika przemysłowa, odkrycie naukowe, wiara, prawo, moda, książka, zbiorowisko ludzkie są dla nas niezrozumiałe dopóty, dopóki nie zrozumiemy rozwoju historycznego, który je zrodził... Sądzimy, że metoda taka istnieje: jest nią ta, którą Marx i Engels zastosowali w swoich dziełach, a która nosi nazwę materializmu historycznego. Metody tej nigdy we Francji głębiej nie przedyskutowano i to właśnie jest przyczyną niechęci do historii wśród warstw wykształconych. Należało by tę teorię rozpowszechnić i podjąć nad nią dyskusję, aby skoordynować wysiłki historyków i uczynić je bardziej owocnymi".

as

Chłopski manifest Jana Wiktora



Jan Wiktor

W ostatnich dniach ubiegłego roku ukazała się jako pierwsze wydawnictwo wznowionej „Książnicy Atlas“, książka Jana Wiktora „Ożywcze krynice“*). Nie jest to powieść, lecz obszerny rozdział z pamiętnika pisarza z okresu okupacji.

Głęboko zrośnięty ze wsią, z jej życiem, troskami i problemami — czego znakomitym i wymownym dokumentem są zarówno „Wierzby nad Sekwaną“ jak i głośna „Orka na ugorze“, a przede wszystkim wydany na kilka miesięcy przed wojną okazały tom studiów, szkiców, opowieści i reportaży pt. „Błogosławiony chleb ziemi czarnej“ — przeżywał Wiktor wszystkie udręki i tragedie wsi jak osobiste dramaty i ze zwykłą sobie śmiałością i bezpośredniością starał się odsłonić istotne przyczyny zła, krzywd i nieszczęść powalonego w boju narodu.

Stykając się na wielu polach swej działalności społecznej w okresie okupacji z działaczami różnych środowisk, a przede wszystkim z pionierami i duchowymi przywódcami ruchu ludowego — nieraz roztrząsał z nimi Wiktor problemy życia wsi, narodu i Polski. Bywało, że przy konfesjonale Wiktora spowiadano nasze dzieje, pokolenia i grupy społeczne z ich stosunku do wsi, do chłopa i państwa.

Zwłaszcza pamiętne dla Wiktora „spotkanie z Janem, znajomym sprzed wojny... jednym (jak pisze Wiktor) z najciekawszych ludzi w Polsce, stojącym na najwyższym poziomie moralności i ideowości“, samoukiem, który „pazurami wydarł siebie z dawnej, zaniedbanej wsi, wspiął się... ponad środowisko“, a potem „kierował ruchem młodzieżowym przez długie lata w najcięższych warunkach“ — dostarczyło Wiktorowi dużo materiału do zadumy nad problemami wsi, kultury ludowej, społecznej roli literatury, krótko mówiąc, stało się zalążkiem rozważań o szerokim zasięgu, obejmujących przede wszystkim zagadnienie stosunku tzw. warstw przodujących i piśmiennictwa do sił twórczych tkwiących we wsi i w narodzie chłopskim.

Nie pierwszy to raz występuje Wiktor w roli orędownika spraw wiejskich, bolączek i krzywd chłopskich. Niemało mocnych akcentów społecznych było już w dokumentarnych niemal w swej wymowie „Wierzbach nad Sekwaną“. Nie mało spraw chłopskich przewinęło się w „Orce na ugorze“, lecz dopiero kryzysowa niedola wsi polskiej, kamienie spadające na wieś, jej zmagania się o prawa polityczne, jej samorzutne i samodzielne poczynania, zmierzające do przekształcenia życia i doli chłopa, związały go nierozerwalnie z nurtem i sprawami wsi. Sam tkliwy i pełen lirycznych nastrojów poeta, głęboko wrażliwy na cierpienie i krzywdę ludzką („Tęcza nad sercem“), przezwyciężył w sobie Wiktor sentymentalizm (cechujący takie jego utwory, jak: „Przez łzy“, „Burek“, „Srogi pies i sentymentalny zając“) i w ostatnich utworach uderzył w ton inny, mocny, krzepiący siły i wolę.

Już szkice, wspomnienia i refleksje na tle podróży, odbytej z wycieczką polską w r. 1937 po Rumunii, Bułgarii i Jugosławii pt. „Od Dunaju po Jadran“ były zapowiedzią tego zwrotu. W zetknięciu z przyjaciółmi naszymi na Bałkanach uprzytomnił sobie Wiktor nie tylko wielkość Mickiewicza, Kasprowicza, Sienkiewicza, Wyspiańskiego dla całej Słowiańszczyzny południowej, ale również naocznie przekonał się, że „osnową i ogniskiem życia bułgarskiego jest kultura ludowa“, wchłaniająca trwałe wartości innych narodów, dowiedział się, że „najistotniejszym elementem literatury jest ziemia, chłop, jego walki, jego namiętności, praca i wszystko, co złączone z nim“, podczas gdy w Polsce widział w „ostatnich latach zalew tłumaczeń obcych, niejednokrotnie tandety, branej z kramów lub rynsztoków“. Rozmawiając z bułgarskimi pisarzami stwierdził Wiktor, że literatura bułgarska, literatura narodu chłopskiego, z trudem wyrabiająca swoje oblicze — „rodzi się z bryły ziemi bułgarskiej, urodzajnej, bogatej, niezwykłej, niewyzyskanej, kryjącej ogromne wartości i możliwości“. Widział, że literatura ta — czerpiąc z rodzimych pierwiastków — „chce dać utwory, które by nie mówiły o Bułgarii, a były bułgarskie w każdym słowie“.

Zwiedzając Jugosławię utwierdził się Wiktor w przeświadczeniu, że chłopskie ręce dźwignęły wielkość tej ziemi. W rozmowie z prof. Koszutićem, rozmiłowanym w kulturze i literaturze polskiej, w romantykach i Kasprowiczu, dowiedział się gorzkiej prawdy, że w ciągu dwudziestu lat wolności nie mieliśmy czasu „na naprawienie błędów, na przeprowadzenie zbawczych reform, na wyrównanie krzywd, z których każda jest „kamieniem żarnowym“, rzuconym pod stopy Polski“, że z kapitału wielkich idei nie umieliśmy zbudować wielkości swej ojczyzny. Od niego posłyszał Wiktor o śmiałej koncepcji państwa słowiańskiego, opartego na granitowych przyciesiach idei jedności słowiańskiej. Wybiegając w przyszłość mówił prof. Koszutić, że „bez solidarności i współpracy na każdym polu narody słowiańskie zginą, rozdeptane przez potęgę germańskiej rasy“. Bliska chwila miała potwierdzić trafność poglądów wielkiego słowianofila. Wprawdzie Słowiańszczyzna wyszła z wojny zwycięsko, lecz zwycięstwo swe okupiła ogromnym upustem krwi i piramidą ofiar, przesłaniających do dzisiaj słońce wolności.

Podróż po chłopskich krajach słowiańskich zdecydowała ostatecznie o tym, że Wiktor — zawsze bliski wsi i jej spraw — przejął się sprawą chłopską do głębi i zdobył się na słowa dosadne, język twardy i jędrny. Już wtedy wołał śmiało, że „wielkość ojczyzny nie na legendzie jednostek należy budować, ale na spracowanych dłoniach, na sercach miłujących, należy budować nie krzywdą, ale prawdą i miłością. Krzywda największe dzieła podpala nienawiścią i obraca w popiół“, że naród musi dźwigać się wielką ideą, że ta idea żyje w pismach Mickiewicza, który w nich „zostawił testament, pisany błyskawicami, przewidział, przeczuł, wytyczył szlaki, jakimi Polska ma iść w swoją przyszłość, aby spełnić zadanie“.

Gruby tom szkiców, opowiadań i reportaży, zatytułowany „Błogosławiony chleb ziemi czarnej“ wydany niemal tuż przed wojną, zawierał w sobie bogactwo treści ideowej i dużo materiału do przemyśleń. Podawał rękę młodemu pokoleniu wsi i byłby niewątpliwie odegrał rolę twórcza w formowaniu postawy młodego pokolenia chłopów, gdyby warunki były pozwoliły na upowszechnienie tej książki. Do dzisiaj nie straciła ona swej wymowy i aktualności, pomimo że połowę książki stanowiły reportaże z wycieczek po Polsce (ściślej mówiąc po wsi), pisane niemal na gorąco, bez troski o obróbkę literacką i mające wartość dokumentu.

Serdecznymi nićmi wspólnoty ideowej związany ze wsią, ale w niej nie zaślepiony, zżymał się Wiktor na ociężałość wsi, na dreptanie chłopów w miejscu. Czasem po prostu „cholera go ciskała, gdy patrzył na drogi, na dziedzińce, na izby, na wieś zaniedbaną, a pyskującą na wszystkich“. Chłopu nie kadził, ale za to skwapliwie notował wszystkie chłopskie twórcze poczynania w dziedzinie kultury materialnej, duchowej i społecznej. Nie uszły jego uwagi borykające się z trudnościami i „złą prasą“ uniwersytety ludowe, osobliwie Uniwersytet Orkanowy Ignacego Solarza w Gaci Przeworskiej, ani wiejskie ośrodki zdrowia, ani chłopskie spółdzielnie, mleczarnie i sklepy. Radością tętniły kartki tej książki, gdy pisał, jak to pod wpływem samodzielnych poczynań wsi „garną się ludzie do czytania, zapisują się na oświatowe kursy, zakładają spółdzielnie, powstają coraz to nowe uniwersytety, mające zaspokoić potrzeby młodzieży“. Widząc jak wieś w szerokim promieniu przekształca się — dzięki uniwersytetowi ludowemu — gospodarczo i kulturalnie, jak wyzbywa się wad i sobkostwa, jak wciela w życie hasła tam głoszone, Wiktor utwierdził się w swej wierze w wielkie twórcze zdolności chłopa, bo widział, że wieś „przejmuje się miłością do kultury ludowej, chce ją pielęgnować, zbogacać“.

Bolało go tylko, że jeszcze za mało widział tych siewców nowego ziarna, za mało wykształconych synów chłopskich dostrzegał przy przebudowie życia wsi, biadał, że „ich siły, które miały być zdrową, odżywczą i odradzającą krwią, gdzieś się zatraciły“. Widząc na wsiach łemkowskich młodzież ukraińską, która — po ukończeniu zagranicznych uczelni — wracała na wieś, by „przeszczepiać postęp i jego zdobycze, wzmacniać wieś gospodarczo, głodnemu dać chleb, ciemnemu światło“, próbował sobie wytłumaczyć ucieczkę synów chłopskich od pracy na wsi, powolne tempo przemian, nikły wpływ szkoły na życie, ale nie mógł znaleźć innej, prawdziwszej przyczyny, jak upośledzenie chłopa i niechęć młodzieży do ofiarności, bezwzględnego wyrzeczenia się łatwizny, oddania swego życia idei bez szans uznania i dobrobytu.

Raz po raz nawracał Wiktor już przed wojną do sprawy oświaty na wsi, pracy społecznej bez wielkich słów, do zagadnienia kultury i twórczości ludowej, żywiąc przekonanie, że „kultura chłopska nie jest odbiciem kultury dworskiej czy mieszczańskiej, ale korzeniami tkwi w ziemi i to od prawieków“, że przez wydobycie jej na jaw i okazanie jej w jakimś polskim Skansen — nastąpić by mogło wzmocnienie dumy i honorności chłopskiej. Odczuwając fałsz w żywej krzątaninie wokół sprawy chłopskiej (tak modnej wówczas) w ostatnich latach przedwojennych — pisał Wiktor, że „w progi Rzeczypospolitej ma wejść chłop świadomy swej roli, szanujący swą godność, będącą cząstka honoru narodu. I taki chłop staje u drzwi Ojczyzny, aby oddać serce, krew, siły. Kiedyż go zobaczymy? Kiedy i kto przed nim otworzy bramy?...“.

Dziś już by Wiktor pytania swego w tej formie nie postawił, bo szybciej nim książka jego na wieś dotarła, odpowiedź dała — historia, pisana ręką samego chłopa. W kataklizmie wojny zawalił się dawny świat polityczny i dokonała się wielka przemiana wewnętrzna. Cały naród, a przynajmniej wszystko to, co w narodzie zdrowe, przeżyło głęboki wstrząs moralny i dla ratowania się przed trującym ducha pesymizmem szukać poczęło ożywczych źródeł wiary w niezniszczalność ducha i mocy narodu. Z takich dogłębnych roztrząsań żywotnych problemów Polski i narodu wyrosła najświeższa publikacja Wiktora — „Ożywcze krynice“. Jest ona nie tylko logicznym następstwem i jakby dopełnieniem obu wspomnianych wyżej książek, ale również **manifestem w imieniu narodu chłopskiego,** w imieniu wsi do pisarzy, uczonych, działaczy, nauczycielstwa, aby zdobyli się na inną postawę wobec wsi, aby nie szli na wieś z tandetą, płycizną i plewami, by nie karmili jej odpadkami, lecz starali się „wszystkimi korzeniami wróść w życie, w jego przejawy i zagadnienia, aby wchłonąć z nich najistotniejsze soki...“, aby sami nauczyli się tej wsi.

O nowy ton w życiu zbiorowym i w literaturze woła Wiktor w swej książce, o nowy wkład do kultury, **„o rozszerzenie tematyki polskiej o cały ugór wiejski,** kryjący w podglebiu (jak to sam na licznych przykładach wskazuje) ogrom niespodzianek plennego tworzywa“. Z dużą słusznością pisze Wiktor, że literatura polska wsi jeszcze nie przetrawiła, że „polska wieś jest nadal egzotyczna, niezbadana, nie uprzystępniona, zagrodzona murami przesądów i uprzedzeń“. Widząc ogrom wielorakich prac kulturalnych na wsi spodziewa się, „że zaraz w pierwszych latach pokoju powstanie instytut, czy izba literacka, skupiająca pisarzy, poświęcających się wsi, którzy **wezmą w swoje ręce wszystkie sprawy, związane z kulturą ludową, którzy będą zarzewiem wielkich pomysłów, zamierzeń, poczynań na wsi,** od biblioteki, teatru, poprzez piśmiennictwo, aż do wyszukiwania talentów, ułatwiania ich rozwoju, aż do badania przeszłości, przypominania nazwisk uczonych, twórców, do odsłaniania ich spuścizny i uprzystępniania jej, aż do zbierania zabytków, rzeźb, obrazów, pieśni, obrzędów...“.

Uderzając w ton znany z pism publicystycznych Żeromskiego i Orkana, ale przepojony wielką namiętnością i gorącością serca, pragnie Wiktor zapoczątkować pospolite ruszenie kulturalne pod hasłem: **odkryć wielkość chłopa** dla odrodzenia narodu i zniweczenia krzywd chłopskich. Z książki Wiktora bije wielka śmiałość, rozmach, a że nie brak w niej punktów spornych i spraw drażliwych, które porusza z właściwą sobie otwartością, przeto spodziewać się można, że niejednego „wilka wywoła z lasu“. Zwłaszcza poezja okresu wojennego, niezwykle ostro zaatakowana przez Wiktora, wyzwie go z pewnością na udeptaną ziemię.

Józef Korpała

*) **Jan Wiktor.** Ożywcze krynice. (Kraków), „Książnica — Atlas“, 1946; str. 92 i 4 nl.

Powieść z X wieku



Karol Bunsch

Karol Bunsch, Dzikowy skarb. Powieść z czasów Mieszka I. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1945; t. I. str. 335 i 1 nl; t. II. str. 321 i 3 nl. Okładkę i obwolutę projektował **Ali Bunsch.**

Trudno orzec czy jest to powieść dla młodzieży, bo u samego autora brak co do tego decyzji. To pewne, że naturalistycznie stylizowane erotyczne epizody niekoniecznie kwalifikują ją na wzorową powieść dla młodych, np. gdy bohater powieści Dzik rozprawia się z rozwiązłą Rejnildą: „Jednym ruchem zerwał z niej giezło i rzucił na łoże jak kotkę“. („Czy kotkę rzuca się na łoże?“ — zwierzał mi się z uzasadnionych wątpliwości Jan Alfred Szczepański).

Toteż ze względów o wiele poważniejszych niż opisy fantastycznej krzepy Dzika, „Dzikowy skarb“ liczyć może na wziętość u starszych czytelników. Bunsch debiutuje szczęśliwie i wiele przemawia za tym, że powieści historycznej przybyło u nas poważne pióro. Prawdziwą zaletą autora jest, że opiera się na gruntownym oczytaniu i orientacji w literaturze i źródłach i dzięki temu obraz historyczny, który roztacza, ma koloryt ówczesności, o ile potrafiliśmy do niej dotrzeć przez wysiłki nauki. Organizacja państwa, dworu Mieszka, drużyny, gród, wieś, podatki, kult pogański i początki kościoła, wojna i uzbrojenie, Słowiańszczyzna, ważne sprawy, drobne szczegóły z dziedziny materialnej i umysłowej kultury drugiej połowy X wieku w Polsce oddane są najpoprawniej, bez anachronizmów i potknięć. Bunsch wie nawet o roli Tyńca i Starżów-Toporów w dohistorycznych czasach; w głębi, poza akcją chrystianizacyjną biskupa Jordana rysuje dawniejsze wpływy chrześcijańskie u Wiślan i obrzadek słowiański w Krakowie.

Historyzm możliwie ścisły również w przedstawieniu spraw politycznych, pasjonującej gry pomiędzy Piastem i cesarzem, której nici sięgają do Pragi, Rzymu i na Ruś, oraz akcji jednoczenia plemion ujmowanych obręczą organizacji państwowej — łączy się z wyobraźnią bez uszczerbku dla prawdy i bez nudy właściwej „pouczającym“ powieściom historycznym.

Wyjątek stanowi przejaskrawiona inwersja współczesnych poglądów w odległą przeszłość. Tajemniczy, biegły w czarodziejskich praktykach Zbrozło, zbędnie przedstawiony jako mózg i sprężyna całego mechanizmu polityki i dyplomacji, a i sam Mieszko, mówią do Mazowszan o Niemcach językiem dzisiejszych pojęć. Tak oto po bitwie pod Cedzyną, podczas uroczystości pogrzebu księcia Ścibora i jego poległych wojów, prawi Zbrozło do Ściborowego syna, Stoigniewa, wskazując na Odrę: „Ucz się od niej nie zdradzać, co w tobie, a dniem i nocą zdążać do jednego celu. Gdy takich wyrosną pokolenia, przyjdzie czas, że całe to plemię przeklęte popłynie z powrotem w ciemności, z których wyszło. To, com dziś uczynić pozwolił, to jeno jakbyś palce uciął potworowi, co ma sto rąk. Do serca mu się dobrać trzeba“.

Gruby dydaktyzm nie tylko narusza zalety formalne, lecz obniża wartość wychowawczą. Harmonizuje natomiast ze świadomością niezmiennej prawdy, gdy współczesny Mieszkowi opowiada o okrucieństwach: „A nauka to cesarska. Nad Rzeknicą kazał wyrżnąć wszystkich jeńców słowiańskich na ich własnej ziemi, a kupę ich ścierwa ukoronował żywym Suchosławem, któremu oczy i język wyrwano. Z pola patrzyła na to głowa Stoigniewowego imiennika i czcigodni biskupi z cesarskiego orszaku, z którego żaden ni słowem za zamordowanymi się nie ujął“.

Również w kompozycji powieści są niedociągnięcia i zbędne dłużyzny (zwłaszcza w drugim tomie). Katastrofa głównego bohatera Dzika, rodzinna, a w ślad za tym osobista, jest zupełnie przypadkowa. Prymitywny leśny Tarzan grzeszy nadmiarem psychologizmu. Skądinąd znać wiele wpływów Sienkiewicza, którego Zbyszko z Bogdańca odżył po trochu w Dziku, jak Hlawa i Rzędzian w swym nikczemnym wydaniu, Szmatce. Nierodzimy, z Nibelungów jest motyw nieosłoniętych pleców, w które Dzika ugodzić miał śmiertelny cios, jak i sam motyw skarbu zatopionego w bagnie.

Język zaprawiony jest bogato gwarą i archaizmami, nie bez dziwactw („prędko jeść nie lubię, **bo** mnie potem **chepie“,** skrzęt — ruch, kinę — rzucę, pośmieszyszcze). Nie wiadomo dlaczego ludzie są **zaniepojeni** (kilka razy) zamiast zwyczajnie zaniepokojeni, Marzana a nie Marzanna. Bywają germanizmy („ucieszysz się na wyprawę“).

Z tym wszystkim „Dzikowy skarb“ jest pozycją udaną. Można przewidywać, że jest to powieść cykliczna. Otrzymalibyśmy w takim razie kolejne tomy z czasów Bolesława Chrobrego, których bohaterowie dojrzewają wśród dzieci i młodzieży z „Dzikowego skarbu“ wraz ze spadkobiercą Mieszka I.

Józef Sieradzki

List ze wsi

Z chwilą odzyskania niepodległości zamarłe przez okres okupacji życie teatralne wsi poczyna odradzać się z żywiołową siłą. Atoli ledwo toto się ulęgnie i jako tako wierzgać zacznie nóżkami, już traci grunt pod nimi, natrafiając na zasadniczą trudność — brak repertuaru.

Pozycja ta, jeśli specjalnie o teatr ludowy chodzi, nigdy w budżecie kultury teatralnej nie była zbyt mocna, a dziś prawie że nie istnieje.

I znów historia podobna, jak z muzyką i śpiewem: zespoły są, jest ich wiele, a grać nie ma co. Historia w tym wypadku znacznie gorsza, bo o ile w muzyce i śpiewie istnieją bogate i niczym nie zastąpione możliwości oparcia się o wspaniałe dzieła starych mistrzów, które nigdy nie stracą na artystycznej wartości — o tyle w dziedzinie teatru repertuar a raczej pewne jego formy ulegają dezaktualizacji, przeżywają się i kończą.

Sprawa poruszana jest właśnie charakterystycznym przykładem takiego zjawiska. Większość sztuk granych przed wojną na wsi, sztuk jako tako pasujących do mentalności chłopskiej skończyła swój żywot. Do grania nie nadają się wcale.

Eliminują je nowe stosunki, nowe formy bytowania, a przede wszystkim nowe prądy dążące do przebudowy życia chłopskiego we wszystkich jego dziedzinach w oparciu o głęboką i prawdziwą demokrację.

Tematyka dawnych ludowych sztuk malująca w większości wypadków głupotę, niedołęstwo i naiwność człowieka wsiowego w przeciwieństwie do sprytu i bezwzględności wiekowych ciemiężców chłopa, tematyka poniżająca godność człowieka, urągająca pojęciom o demokracji — dziś powtarzana być nie może. Lepsza cząstka starego repertuaru wygrana jest do cna, sztuk klasycznych z repertuaru inteligenckiego na wsi na razie grać nie można — nowych sztuk, owianych duchem świeżości i wielkiej demokratycznej prawdy, dostępnych dla każdej sceny i przeciętnych pojęć szarego człowieka — nikt nie pisze, ani wydaje. W konsekwencji wieś albo gra bzdury, albo niezręcznie i niepotrzebnie sięga w górne regiony i nie orientując się, usiłuje wystawić sztuki Bałuckiego czy Zapolskiej. Jak to wychodzi i jaki sens ma — szkoda gadać.

Wielkie sceny miejskich teatrów mogą sobie na najrozmaitsze eksperymenty pozwalać, ale u nas na wsi, gdzie wszelkimi dostępnymi środkami atakować trzeba serca i mózgi, gdzie niekiedy jak w puszczy karczować trzeba, orać i siać ziarna wiedzy o prawdzie, pięknie i dobru — na wsi na luksus bzdur i nonsensów nas nie stać. Nie wolno, szkoda czasu i trudu. I szkoda tak ważnych okazyj, jakimi jest sceniczny siew żywego słowa, które jest takim właśnie ziarnem o wielkiej sile witalnej, mającej zdolność wyrostu i owocowania.

Ludzie miast mający do dyspozycji kino, radio, koncerty, do samego teatru i jego roli w kształceniu pojęć i uczuć zbyt wielkiej wagi nie przywiązują. Inaczej na wsi, gdzie poza rzadkimi spektaklami urządzanymi latem przez mamę naturę (z efektami świetlnymi i namiastką jerychońskiej trąby) nie dzieje się właściwie nic — tu każda sceniczna impreza staje się wydarzeniem epokowym, na miarę trzęsienia ziemi. Tu treścią granej sztuki żyją ludzie długo: komentując ją i roztrząsając poznają nowe problemy i uczą się lub... ogłupiają. Zależy właśnie od sztuki.

Ważnej i odpowiedzialnej roli teatru ludowego w odrodzeniu się wsi lekceważyć ani zaniedbywać nie wolno. Teatr ludowy, poza swoim rozrywkowym i emocjonalnym charakterem, musi być współczynnikiem w wielkim dziele przebudowy struktury psychicznej i umysłowej chłopa, musi być złotym rogiem wołającym rzesze ludu do walki o szczęście i sprawiedliwość.

Dlatego o tych sprawach należy pomyśleć poważnie. I nie kończąc na myśleniu, zacząć działać. Na początek podaję wniosek: redakcje pism literackich rozpisują konkursy na nowele. Może by więc jakaś kulturalna instytucja ogłosiła konkurs z kilkoma, choćby niedużymi nagrodami, na sztukę ludową, która by dawała prawdziwy obraz wsi w jej pędzie ku wyrostowi.

Jest na wsi wielu pisarzy. Twórczość ich objawia się w wierszach i prozie publicystycznej czy beletrystycznej — żaden z nich nie ima się tworzywa scenicznego. Może właśnie zachęceni nagrodą zaczęliby wreszcie umizgi do pięknej trefnisi Melpomeny. I kto wie, czy przy szczęśliwej okazji nie urodziłby się jakiś Jasiek Ibsen, czy Staszek Szekspir. Nigdy, jak na wsi mówią, nie wie diabeł, co Pan Bóg może dać. A nuż. Więc pomyślcie o tym, ale tak na serio.

Na początek zaś, nim oczekiwany mesjasz chłopskiej sceny zjawi się i nim go ochrzcimy (wodą z kropką nad o), przydałoby się koniecznie, ale to naprawdę koniecznie wznowienie wychodzącego przed wojną pod redakcją nieodżałowanej pamięci Jędrzeja Cierniaka, miesięcznika „Teatr Ludowy“. Pismo takie, gdyby na dawnym poziomie stanąć mogło, stałoby się alfą i omegą setek nowopowstałych i ciągle się rodzących zespołów teatru ludowego.

Librantowa, w grudniu 1945.

Józef Bieniek

„Balladyna" w Krakowie

Wystawiając „Balladynę" teatr im. J. Słowackiego oddał hołd swemu patronowi, wypłacił należne mu świętopietrze, wypełnił swój pierwszy obowiązek. Ale tak czyniąc głównie dla przyzwoitości i dla tradycji ani zgadywał, że wykonywa ciekawy eksperyment. Polegający na tym, że nad nami, abstynentami w tym względzie od sześciu lat, rozbił banię z poezją. Uderzył w nas na całego, na cały regulator. Gdyż wybrał rzecz na wskroś górnolotną, utwór bez żadnych bocznych wejść, przez które słuchacz może się wemknąć do dzieła. Takie drzwiczki to przede wszystkim wszelka aluzyjność do współczesności (jak w „Weselu"), albo mądrość (jak w „Antygonie") tak ogólna, że w każdej historycznej sytuacji zawsze może być gotowa do usług. Nic z tego w „Balladynie"! Poezja jej jest łatwa. Ale jest w niej tylko poezja. Kto jej nie chce, nie ma co liczyć, że do „Balladyny" się wkupi po specjalnej cenie. Na afiszach z nią winien był dyr. Frycz umieścić napis: — „Żadnych ulg! Wszystkie passepartout nieważne!" Te różne passepartout bardzo inteligentne, które z każdej sztuki czynią rzecz służebną do naszej dzisiejszości. Ludziom z takimi intencjami zamyka „Balladyna" drzwi przed nosem. A dopiero tym, którzy nie chcą od niej nic więcej prócz poezji, powiada: „Proszę siadać". Taki to jest ten eksperyment.

Oczywiście snując się oczami po tekście poety i mając głowę nieotrząśniętą z własnych myśli, wyczytać można z „Balladyny" co się chce i to czego się nie chce. Mój stryj, który był kawalerem maltańskim, uważał, że z „Balladyny" trzeba brać przede wszystkim nauczkę, żeby się nie żenić w nieswojej sferze. Dla ludzi pasjonujących się psychoanalizą „Balladyna" stawała się popleczniczką zupełnie z innych względów. Odnajdowali w niej teksty ilustracyjne do różnych najbardziej nowoczesnych psychologicznych cienkości i nauk. Podobnie jak słynny cytat u Racine'a o tym, że: „Nigdy człowiek tak nie nienawidzi jak wówczas kiedy nienawidzi własnego brata" — różne zdańka ze Słowackiego wspomagały wyznawców Freuda, a zwłaszcza Adlera. I Scheler, badacz „resentymentów", znalazłby u Słowackiego niejedno miejsce leżące na jego teorii jak ulał. Tam gdzie Alina, już nazbierawszy malin, rani lekkomyślnie siostrę jednym słówkiem po drugim, Scheler byłby zdania, że one tylko naciskają guziczek od maszynerii budowanej przez lata.

Z czasów wojennych pamiętam odkrywkę innych złóż dokonaną w tym utworze. Genialnym jakoby z tego powodu, że tak wybornie ujmuje prawdziwy stosunek zaświatów do ziemi. Wieczną ich tendencję, żeby sobie trochę przy ludzkich sprawach podłubać, i tę równie wieczną właściwość nadprzyrodzonego, żeby jak się co na ziemi naprawdę grubo zaplącze, zwijać dudy w miech. U Słowackiego Goplana reprezentuje zaświaty. Ona to wprowadziła Kirkora w dom wdowy, ona to przystroiła Grabca w koronę, za którą niebawem zapłaci szyją. Cóż Goplana powiada, kiedy już Balladyna odwaliła połowę krwawej roboty: „Bądźcie zdrowi! Bądźcie zdrowi! Poplątałam ludzkie czyny!" I już po niej do końca sztuki! Czyż nie typowe zachowanie się nieba.

Ale jakże chwiać się zaczynają na nogach te wszystkie mądre interpretacje, kiedy z pomocą aktorów dobrze wypowiadających wiersz, zaczynamy słuchać Słowackiego. Blednie wojna, i mezalians, i Freud. Roztapia się całe niebo. Różne wiersze, które ludzie wyciągali z miąższu rymów na swój mózgowy użytek, cofają się do szeregu. I człowiek zaczyna pojmować, że grzeczność, którą czyniły tej czy innej z naszych myśli, była chwilowa. Teraz, kiedy wiersze ruszają na nas pospolicie, całą masą, widzimy dopiero, po co są. Nie żeby nam pomóc zrozumieć to i owo ze świata, ale żeby nam pomóc o wszystkim zapomnieć. Na te godziny, na które moc natchnienia nami zawłada. Na ten okres snu, w który poezja nas wprowadza. Po to jest! To jest właśnie biotechniczny sens podobnych wierszowanych kąpieli. Żeby w nas wypoczęły, odrodziły się, nabrały na nowo pewnej tęgości różne bardzo subtelne substancje, w nas, których nie pożywi zwykły sen, ani żadne inne formy wypoczynków, te, że tak powiem doczesne.

Czy na „Balladynie" w „Słowackim" popadliśmy w stan katalepsji? Czy w trakcie tego spektaklu staliśmy się bezwładni jak dziewczyna w objęciach kochanka? Słowem czy udał się eksperyment? Otóż w nastrój pełnego zapomnienia o świecie nie wprowadziła nas ta „Balladyna". Dlaczego?

„Nasycona? Nigdy! Ale czasami przyznaję, że czułam się już zmęczona!" — tak odparła Kleopatra, kiedy ktoś ją pytał, czy zdarza się jej mieć miłości dosyć. Rozumiemy ją my z ostatniej „Balladyny". Przede wszystkim za długo trwała. Ale nie powiadam tego przez wzgląd na zegarek. Ci, którzy się nieraz skarżą na długość jakiegoś dzieła, skarżą się słusznie, chociaż nie rozumieją, o co im naprawdę chodzi. Otóż wcale nie o czas. O — tempo! Książka, która się wlecze, nuży nas jak jazda na wozie. Podczas gdy samochodem możemy jechać dziesięć razy dłużej. Na czym polega to poczucie, że coś się wlecze? Na tym, że jakiś obraz sterczy nam przed oczami za długo. Wiemy już, poczuliśmy, a on nie schodzi nam z oczu jak interesant, który powiedział swoje, a nie znika. Od podobnych obrazów wrażeniowych już przyjętych, już odczutych roiło się w „Balladynie". Powie ktoś, że to co tutaj wnosili „interesanci" było do końca piękne. A widoki przy drodze, kiedy jedziemy wozem? Piękne, a przecież można się wściec. W naszym uczuleniu estetycznym zaszły zmiany. Radość naszych pradziadów fundowała się nieraz właśnie na tym, że poeta potrafił ich trzymać w jednej kąpieli tak długo. Byli oni jak ta dziewczyna, której wróżka przyrzekła wypełnić trzy życzenia. „Jedno życzenie trzy razy!" — oto jak wróżce odparła ta panna! Podczas gdy naszą zasadą wrażliwości estetycznej jest zasada ciągłej zmiany życzeń. Bo my nie tym się radujemy, że ktoś coś potrafi tak długo, ale że potrafi coraz to inaczej. Poza tym? Nowe jest w wrażliwości estetycznej dzisiejszego człowieka jeszcze to, że ona nie znosi dziur. Weźmy przykład: finał „Balladyny". Wchodzi oskarżyciel, wchodzi Filon, wchodzi matka. Wchodzą, defilują. Tymczasem oni nie powinni wchodzić. Oni powinni być. Znaleźć się! Schiller w podobnych wypadkach potrzebnych sobie ludzi wydobywał ze sceny światłem. A gasił ich obecność mrokiem. Przecież nie dla samego pstrykania. Ale z tych samych powodów, dla których inżynier, obmyślając nowy typ samolotu, mostu czy czołgu, usuwa z niego wszelką zbyteczną przestrzeń i ciężar. Nasza wrażliwość estetyczna przejęła się tym zjawiskiem w świecie rzeczy. I nie tylko. Nastąpiła niewątpliwie jakaś fizykalizacja wrażliwości estetycznej współczesnego człowieka. Kult funkcjonalności, wstręt do luzów, do złego wykorzystania materiału przeszedł zwolna od maszyn do architektury, mebla, aż do inscenizacji. Dzisiaj aerodynamiczna musi być nie tylko lokomotywa, ale i „Balladyna".

To są oczywiście sformułowania prowokacyjne. W sprawie spornej. Z tym zaś, co się tyczy inscenizacji, a jest bezsporne. **Władysław Woźnik**, który opracował widowisko, dał sobie pięknie radę. Wiersz pod jego batutą płynął naturalnie, prosto i miał ton. Poziom gry był wyrównany, w większości doskonały. Sceny zbiorowe ciekawe. Świat czarów pełen powabu. Sam Woźnik grał Grabca. Był to Grabiec pokazowy. Trywialny bez jaskrawości i bardzo śmieszny. W roli tytułowej wystąpiła młodziutka **Zofia Rysiówna**. To prawie jej debiut. Talent istotny. W sumie powiedziałbym o niej to, co słyszałem niedawno o pewnym ministrze. „Zdolności niezwykłe, ale widać, że pierwszy raz w życiu w podobnej roli". Wdowę, która poruszyła serce widowni do głębi, kreowała **Bronisława Janikowska**. Aliną była **K. Szyszko-Bohusz**. Świetna! **Ludwiżanka** (Goplana) pięknie wypowiadała wiersz. **W. Nowakowskiemu** (Pustelnik), **Bednarskiej** (Chochlik), **Bylińskiej** (Skierka), **Mrożewskiemu** (Kostryń) należało by się po gorącym słówku. Filonowi — nie!

Na koniec dekoracje! **Walczowski**. To orzech! Pierwsza (las) odpychająca. W następnych (zamek, namiot Balladyny) zwyciężał talent. Przyznaję! Choć przyznam się, że nie w moim guście. Poszczególnych obrazów nie łączyło w jedno ani określone wyznanie malarskie, ani jakaś wyraźna osobowość, żaden pomysł ogólny, choćby sposób. Toż z kostiumami. Jedne były od sasa, drugie od lasa. Te od lasa najwątpliwsze. Ładny ubiór miał Kirkor. I jeszcze ten i ów z aktorów. Ale cóż mi z tego, kiedy zrodziła je ta sama inwencja, z której w prawym kącie lasu wypłynęło to jakieś wzgórze fioletowych wypukłości w kwiatki.

Tadeusz Breza

SŁUCHAJĄC „BALLADYNY"

„Balladyna" w teatrze J. Słowackiego nie jest na pewno przedstawieniem złym. Tylko do jej słuchania nie należy się zanadto przysposabiać. Przede wszystkim przed pójściem do teatru nie należy odczytywać „Balladyny" na nowo, jak to uczyniłem. Rezultat bowiem będzie podobny mojemu: wyjdziecie mocno zawiedzeni. Wyjdziecie przekonani, że „Balladyna" bardziej jest przeznaczona do czytania aniżeli do oglądania, chociaż przedstawienie nie jest złe, jest tylko pouczające w swoich — błędach.

Pierwszemu sprawcy zawodu na imię — Słowacki. Bo proste przypomnienie od razu uświadomiło, że nie widziałem jeszcze naprawdę dobrego przedstawienia „Balladyny". Wyjątkowa zawodność teatru wobec tego utworu? Nie przypuszczam... „Balladyna" jest utworem bardzo nieskładnym. Jej dwie warstwy główne, fantastyka i historiozofia, chodzą luzem. Jedność stanowią tylko w komentarzu historyczno-literackim i w komentarzu samego poety. Nie dają tej jedności ani w czytaniu, ani w słuchaniu scenicznym. Przede wszystkim nie dają w słuchaniu.

Z całą tą bowiem jednością, zbudowaną na własnym komentarzu poety z przedmowy, ofiarowanej Krasińskiemu, jest moim zdaniem mocno nie w porządku. Przede wszystkim przedmowę od czasu pisania „Balladyny" dzieli pięć lat. Datowana jest dziewiątego lipca 1839, utwór zaś powstał w roku 1834. Przedmowę zatem pisał Słowacki, który zwlekał, który wreszcie zdecydował się wydać dawny utwór i czuł potrzebę włączenia go w całkiem inny porządek dramatyczny i historiozoficzny, który w nim zapanował.

Przedmowę do „Balladyny" pisał autor „Lilli Wenedy". Przedmowę do kaprysu pisał tragik. Kaprys obywa się bez konsekwencji, tragedia nigdy. Cóż prostszego w takiej sytuacji, jak kaprysowi próbować wmówić konsekwencję, jak dorabiać ją ex post. I kto wie, czy w samym tekście Słowacki nie wprowadził zmian, by kaprys nabrał pozorów głębszej konsekwencji. Mimo to, jak ujrzymy, nawet w najbardziej węzłowym miejscu nie udało się Słowackiemu przeprowadzić tych pozorów.

Interpretacja post factum jest dobrym prawem poety. Gorzej, że poszli za nią komentatorzy, nadając niespójnej baśni i kapryśnej tragedii pozory jednolitego, zamierzonego wyglądu. Najpierw mała dygresja: o zasadzie postępowania wobec podobnych komentarzy. Czym innym jest komentarz pisarza, dawany przed napisaniem dzieła, czym innym po jego powstaniu (zwłaszcza po latach pięciu!). Kwestię tę poruszył ostatnio W. Kubacki w swym znakomitym studium o Improwizacji („Monolog Konrada"), twierdząc, że „o ile wypowiedzi ex ante należą na ogół do historii poglądów pisarza, to wypowiedzi ex post należą także do dziejów twórczości" („Twórczość", IV, 101). Jestem przeciwnego zdania: do dziejów twórczości należą właśnie wypowiedzi poprzedzające dzieło, bo są świadectwem stanów, które były jeszcze zdolne podziałać, ukształtować tworzone dzieło. Natomiast wypowiedzi ex post są już tylko komentarzem, zasadniczo biorąc komentarzem o tej samej wartości, co komentarz każdego czytelnika. Jeżeli są słuszne, to nie dlatego, by twórca naprawdę więcej wiedział o gotowym już, oderwanym od niego dziele. Jeżeli więcej wie, to tylko o **swoich zamiarach**. O wykonaniu tylez samo, co dobrze czytać umiejący czytelnik.

Mamy więc prawo traktować ów komentarz Słowackiego, jak każdy inny. Mamy jeszcze słuszniejsze prawo wątpić, czy trafnie postąpili historycy literatury, ostateczny sąd o „Balladynie" sprowadzając do sądu samego poety. Słowacki bowiem kładzie znak równości pomiędzy kaprysem, tragedią a historiozofią. Wszystko w tej „Balladynie", powiada, dzieje się przewrotnie. Goplana kocha się w Grabcu, a nie w Filonie, korona spada na głowę Grabca, nie Kirkora itd., — ale w tym sens historyczny, że powinno dziać się przewrotnie. Juliusz Kleiner widzi w tym nawet celowy pesymizm historiozoficzny: „Słowacki, czyniąc nielogiczność prawidłem stałym, połączył cechy przypadku — i przeznaczenia" (Przedmowa do „Balladyny" w Bibliotece Narodowej, str. 19). Niestety, jakoś wszyscy zapomnieli, że Słowacki swój komentarz kładzie w trybie warunkowym. Wyjaśniwszy kaprysy zdarzeń, powiada — „a jeżeli to wszystko ma wnętrzna siłę żywota", i tych **jeżeli** rzuca kilka — „Balladyna zostanie królową polską".

Otóż tej wnętrznej siły żywota „Balladyna" dla nas już nie posiada i stąd brak jej jednolitości. Jest z jednej strony dziełem uroczego, jedynego w swych błyskach kaprysu, który cały się wspiera o sielankową poetyzację przyrody, z drugiej zaś jest płodem, co tu skrywać, erudycji literackiej. Jest wytworem pisarza, który sposobiąc się do kariery tragika, posiada już w zapasie wiele wątków i pomysłów tragicznych, ale te wątki i pomysły mają charakter wyłącznie literacki, są typowymi schematami, za które zawsze zwykła spadać kara. Zabójstwo siostry, zabójstwo Grabca, Gralona, otrucie Kostryna, wina wobec matki — same udane zbrodnie i właściwie, w normalnym, rzeczywistym porządku, w jakim działa Balladyna, nie ma na nią sposobu. Powiodło jej się doskonale. Sposób przychodzi z zewnątrz.

Uczący się swojej sztuki tragik nagromadził aż zbyt liczne węzły, ale nie umie ich ani rozciąć ani rozplątać. Czyni to za niego Goplana, Zeus z rybiej galarety, jednakże całe to rozwiązanie poprzedzone jest taką ilością zbytecznej makabry (czy np. Balladyna „musi" własnoręcznie ubijać Gralona, byśmy wiedzieli, iż jest zbrodniarką?), że przestaje się mieścić w świecie baśni. Zbyt jednak jest baśniowe, zbyt w samym biegu zdarzeń dramatycznych nieprawdopodobne to spiętrzenie winy, zbyt dziecinnie sprowokowana jest kara wyrokami sądzącej Balladyny, by jakiekolwiek oczyszczenie tragiczne spływało na widza. Nie, stanowczo „Balladyna" utworem składnym nie jest. Rzekomo zupełne splecenie baśni z tragedią historyczną nie powiodło się poecie w sposób naprawdę konsekwentny.

Baśń i tragedia leżą obok siebie, ale nie wchodzą w siebie naprawdę. Jest w utworze scena, która najmocniej świadczy, jak bardzo niepogodzone leżą — uczta na zamku Kirkora. Całe prawdopodobieństwo przybycia Grabca nawet w motywach baśni jest wątpliwe i naciągnięte. Ale najbardziej naciągnięty fakt, to jego obecność właśnie podczas uczty. Po co ta cała uczta? W jakim właściwie charakterze i po co Balladyna przyjmuje Grabca? Przecież nie wie, że będąc wierzbą, widział jej zbrodnię. Co gorsza, także i my nie wiemy, czy Grabiec-król i Grabiec-człowiek pamiętają, co widział Grabiec-wierzba? Może Balladyna się lęka, że Grabiec wyśpiewa, co było między nimi dawniej? W takim razie wystarczyło go przepędzić, jak już raz przepędzony został, nie trzeba było specjalnie go poić. Zresztą plotki poddanych nie zawsze szkodzą władcom. Korony Grabca nie bierze przecież na poważnie. Więc może kaprys, że poi głupka dzwonkowego? Nic nie wiemy, uczta odbywa się we mgle.

Dlatego to widzimy tylko koniec uczty, by nie dostrzec całego rozmiaru tych nieprawdopodobieństw i niezgodności pomiędzy baśnią a postulowaną tragedią. Najważniejsze, krzyżowe miejsce dzieła jest zupełnie zamazane. Nawet żaden rzekomo przewrotny i na swój sposób konsekwentny kaprys tutaj nie działa, nic prócz mechanicznego przecięcia baśni z mordem.

Jest więc w „Balladynie" zasadnicza rysa. Bywa w dramatach Słowackiego, że podobnie nieskładną ze stanowiska scenicznego sytuację ratuje instrument językowy poety; bywa, że czar wiersza sięga wszędzie i przerzuca mosty ponad pęknięciami. Tymczasem w „Balladynie" nawet to się nie dzieje: **grand guignol** strony rzekomo tragicznej napisany jest wierszem czysto informacyjnym, o tyle giętkim, ile to jest konieczne dla potrzeb akcji, ale wierszem całkiem pozbawionym tej inwencji, czaru i swobody, która lśni w baśniowej części dzieła. Wystarczy wspomnieć jednolitość wiersza w „Lilli Wenedzie", jego ten sam patetyczny wszędzie zakrój, czy też inną, jeszcze trudniejszą, bo dokonaną według praw zdobnictwa i kaprysu jednolitość mowy scenicznej w „Fantazym", wystarczy to porównanie, by wskazać, że mowa sceniczna „Balladyny" utoczona jest z dwóch odmiennych kruszców. Kruszcu prawdziwie poetyckiego w scenach baśniowych, obojętnego poetycko w scenach tragicznych.

Dlatego to jedynie wiersz części baśniowej nadaje „Balladynie" pewną sugestię jednolitości poetyckiej. Jego czar jest tak mocny, że zupełnie uwalnia od obowiązku konkretnego, obrazowego widzenia lasu nadgoplańskiego, Goplany, jej diablików. Cała strona obrazowa baśni pozostaje w czytaniu miejscem, którego nie musimy aktualizować obrazowo, które trwa przesłonięte i przymglone pięknem słowa. Dlatego „Balladyna" czytana jest bardziej jednolita aniżeli „Balladyna" oglądana. Powtarzam: klamrami tej jednolitości jest **baśniowy wiersz i nieokreśloność obrazu**. Są to klamry bardzo literackie, mało sceniczne.

Pisząc to zamieniam na terminy krytyczne najpiękniejszą, jaka istnieje w naszej literaturze, glossę poetycką o „Balladynie". Napisał ją Norwid u wstępu do rozbioru „Balladyny", zamykającym jego wykłady o Słowackim: „Do tragedii własnej stawił zarazem Juliusz — teatr jakoby przenośny, w okładkach, że tak rzekę, książki schowany. Są tam dekoracje z liści rosami mokrych uwite — rzutami pstrego światła ozłacane — malin woni i konwalii pełne. Rozpruj książkę i przeciągnij po stole, ponowo karty jej stawiając, a okaże ci się gajów zielonych i chat i baszt połamanych perspektywa, Ojcowskiemu i Pieskowo-skalnemu podobna wąwozowi. A to wszystko jasności planu pierwotnego i, że tak rzekę, harmonii zasadniczej szkieletu samego nie uwidomia — osi dramatycznej nie okazuje — typów nie uwydatnia — owszem, zamglewa rysy główne i unieczytelnia rzecz, lubo w sposób dziwnie powabny".

Z takiego wyglądu czytanej „Balladyny" wynikają, tak przynajmniej sądzę, pewne oczywiste wnioski, jak „Balladyna" powinna wyglądać na scenie, by nie zatracała swoich wartości. Ponieważ są to wartości typowo literackie z góry zakładamy, że zatraca ich więcej, niż którykolwiek z innych dramatów Słowackiego. W pewnym sensie łatwiejsza, ponieważ dosyć beznadziejna, jest sprawa wiersza. Brakującej jednolitości stylu nie nadrobi w „Balladynie" najbardziej sumienna praca reżysera, nawet reżysera o tak wybitnym zrozumieniu wiersza, jak Władysław Woźnik, jeden z arcyrzadkich w tej mierze naszych aktorów. Ale pokusić się o to powinna nawet ponad rozszczepionym stylistycznie tekstem poety. W krakowskiej inscenizacji Grabiec i Filon stale, Goplana chwilami, zachowywali wiersz. Tymczasem (nie lękam się tego terminu) „Balladyna" winna być **deklamowana**, w pełnym sensie tego terminu jako mówienia ozdobnego, uwyraźniającego wiersz jako twór umowny, piękny przez swoją odległość od mowy codziennej.

Trudniejsza i bardziej istotna jest sprawa wizualności „Balladyny". Opis poetycki, domyślne tło fantastyczne, tę posiada przewagę nad opisem i tłem zrealizowanym scenicznie, że realizacja wybiera i dopuszcza do widzenia tylko jeden wygląd. Ten, który postawiono nam przed oczyma. Tymczasem tło zawarte tylko w słowie pozwala się widzieć tak, jak każdy tego zapragnie, według tych potrzeb fantastyki, które każdy nosi w sobie na sposób odmienny. Jest to zresztą ogólne prawo (opisał je R. Ingarden), według którego odtwarzamy w naszej wyobraźni wszelkie opisy czy krajobrazy: w ogólne ramy, poddawane przez pisarza, wkładamy obrazy z własnych wspomnień i przeżyć. Tym odrębniej, tym bardziej na swój jedynie sposób wkładamy te treści i obrazy, jeżeli chodzi o sprawy tak ulotne i tak jedyne, jak baśń, jak jej fantastyka.

Zasługę inscenizatora krakowskiego przedstawienia — jest nim Fr. Walczowski — stanowi, że jasno pojął i postawił to, że baśni „Balladyny" nie można rozwiązywać na sposób realistyczny. Postawiwszy jasno **co nie** należy, nie rozwiązał Walczowski równie jasno, **jak należy**. Upoetyzował tylko kształt, nadając nadgoplańskiemu borowi układ ornamentu, nie uczynił zaś sprawcą baśni — barwy. Tymczasem poezja ornamentu jest właśnie poezją zamkniętą, pozbawioną kaprysu i niespodzianki, jakich dopomina się „Balladyna". Tymczasem właśnie w gamie barwnej ten las Goplany powinien być do niczego na świecie niepodobny, nierealny, spojony z fioletów i cynobrów, z drzew, których nikt na świecie nie widział, z kolorów, które w przyrodzie nigdy się ze sobą nie kojarzą. Ferdynand Ruszczyc już raz podjął taką próbę dla stylu minionego, dla secesji; dla potrzeb wizualnych kształconych na obecnym malarstwie ta próba jest ciągle do zrobienia. Próbował jej w Krakowie za okupacji T. Kantor.

Nie dla przypadku rzucę nazwisko, które nigdy nie zostanie podpisane na afiszu „Balladyny". Kiedy spozierałem na ucztę z Grabcem, nagle dostrzegłem, że znam przecież skądinąd kapryśne i śmieszne, infantylne i poetyczne uczty, wśród których doskonale pomieściłby się Grabiec: malowane uczty nieżyjącego Zygmunta Waliszewskiego. I „Balladyna", tak ją widzę wewnętrznie, tak przeczuwam nieujrzaną dotąd nigdy, powinna być równie niespodziewana i radosna, równie poetycka i równie żywa jak jego kolorystyka. Wydaje mi się, że tutaj, w otwartym kaprysie kształtu i pełnej soczystości, arealnej barwie, zawiera się przeczuwana poetyczność dzieła.

Słuchając „Balladyny" taką ją widziałem i taką — proponuję sobie. „Dekoracje z liści rosami mokrych uwite — rzutami pstrego światła ozłacane". Tak widzę malarskie słowa Norwida. Radbym wysłuchać innych propozycji.

Kazimierz Wyka

KORESPONDENCJA

MUZYKA DLA AMATORA

Do redaktora „Odrodzenia"

Z jakąż przyjemnością przeczytałem „List ze wsi" Józefa Bieńka zamieszczony w nr 55 „Odrodzenia". Przyjemnie jest stwierdzić, że właśnie to, czego oczekuje wieś i miasto, łatwy i dobry repertuar dla amatorskich zespołów muzycznych — jest już w stadium realizacji.

Przystępując do organizacji działu muzycznego „Czytelnika" założyłem m. in. „Bibliotekę Amatorskich Zespołów Muzycznych". Zamówiłem liczne utwory u najwybitniejszych kompozytorów polskich stawiając warunek przystępności i muzycznej i technicznej. Zastrzegam się, że przystępności nie rozumiem jako ustępstwa na rzecz muzyki konwencjonalnej. Każdy kompozytor ma tu piękne pole do indywidualnego, w swoim własnym stylu utrzymanego popularnego wypowiedzenia się. Coś jak dobra popularyzacja fizyki, która wcale nie stawia pod korcem ostatnich zdobyczy. Albowiem: jak słusznie sądzi ob. Bieniek, biblioteka ta musi być wychowanką dobrego smaku.

Oto jest stan naszych prac. Na rynku ukazał się już zbiór pieśni okolicznościowych (patriotycznych i robotniczych) opracowany przez Wł. Raczkowskiego na chór jedno-, dwu-, trzy- lub czterogłosowy z akompaniamentem fortepianu lub bez. Zbiór nosi tytuł „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę". W druku znajduje się drugi, podobnie ujęty zeszyt pieśni towarzyskich pt. „Siadajcie wszyscy wokoło z nami" Tadeusza Szeligowskiego. W druku są również utwory na amatorskie zespoły orkiestrowe, takie właśnie jakie proponuje ob. Bieniek: „Na serdeczną nutę" Rudzińskiego, „Ze starej muzyki" Bacewiczówny, „Uwertura" i „Obrazki wiejskie" Sikorskiego, „Pod strzechą" Bacewiczówny, „Marsz Jaworzyński" Panufnika. Są tu więc i utwory oryginalne i suity o charakterze ludowym i wybory ze starej, dobrej muzyki. Przygotowane do druku lub w opracowaniu są: „Suita kaszubska" Wiłkomirskiego, „Suita weselna" Palestra, „Wesoła suita" Kisielewskiego, utwory Kasserna, Lutosławskiego, Mycielskiego, Szeligowskiego, Wiechowicza i innych.

Sądzę, że do wiosny wyjdzie przynajmniej dziesięć pozycji z tej Biblioteki. Za nimi nastąpią dalsze. Dla nas jest rzeczą niezmiernie ważną oddźwięk i zainteresowanie tymi rzeczami wśród nieprzeliczonych rzesz amatorów. Prosimy o adresy świetlic, zespołów, orkiestr, żebyśmy mogli posłać im prospekty, powiadomić o nowościach itd. Wtedy szybko usłyszymy się i poznamy na estradzie.

Witold Rudziński
Łódź, Piotrkowska 96 „Czytelnik"

PRZEGLĄD PRASY

Rocznica mickiewiczowska trwa. W czasopismach poświęconych kulturze ukazują się w dalszym ciągu wypowiedzi pisarzy, którzy poprzez uwyraźnienie stosunku do Mickiewicza wypowiadają ideologię pokolenia, do którego należą. Milczenie jest również wymowne. Ułamkowość zainteresowania lub wstrzemięźliwość czasopism związanych z aktualną „prawicą" polityczną nie jest przypadkiem. Bo — i tego teraz już nikt nie przemilczy — Mickiewicz jest związany z ruchem postępu społecznego. Okres jego politycznej działalności, okres „Trybuny Ludów" wstydliwie jako „wyskok" przez historyków literatury pomijany, jest okresem najbardziej syntetycznym życia twórcy „Dziadów".

„Trzeba było" — pisze w „K u ź n i c y" **Adam Ważyk** — „bezwstydnej perfidii rodzimej prawicy, świętoszków piszących historię literatury, profesorów układających święta narodowe, komentatorów i uzurpatorów, aby przedstawić jako wyskok wygaszonego wieszcza wszystko, co zdziałał w tym okresie; jego samozwańcze posłowanie w Europie, użerania się z papieżem, legiony włoskie i żydowskie, zwłaszcza zaś tę trybunę, zlekceważyć ją i od biedy wybaczyć. Trzeba było fatalnej głupoty i sekciarstwa lewicy polskiej, aby przeoczyć tę drobną szacherkę i pogodzić się z postawieniem na opak przez prawicę całej twórczości, całej działalności, całego temperamentu mickiewiczowskiego. A jak się widzi Mickiewicza, tak się patrzy na wszystko, co jest w tradycji narodowej. Okaleczony i skamieniały stał przez lat kilkadziesiąt w szlagońskim panteonie, utrapienie uczniaków gimnazjalnych z kijem pielgrzyma w ręce, a dla ludu, i to tylko dla wiejskiego, została okruszynka zdania, jałmużna westchnienia, żeby kiedyś zbłądziły pod strzechy te rzeczy liryczne i epickie, w których krążyły najświetniejsze soki wielowiekowych doświadczeń poetyckich, rzeczy, które się same błąkać nie będą, ale będą czekały... aż strzechy do nich podejdą".

Mickiewicz i socjalizm. Zestawienia tego, dziś powszechnie na łamach całej prasy postępowej uwyraźnionego (nowe głosy „N a p r z o d u D o l n o ś l ą s k i e g o" i katowickiej „G a z e t y R o b o t n i c z e j") nie da się „poprawić" jakimś przymiotnikiem mitygującym („mistyczny" czy „chrześcijański"), który by sens prawdy przeobraził.

„Oszustwo uzurpatorów" — kontynuuje Ważyk — „często jest produktem ignorancji. Po prostu nie wiedzą, że sto lat temu skojarzenia idei musiały być inne niż dzisiaj. Zabarwienie religijne socjalizmu Mickiewicza stawiało go bliżej jakobinów niż dzisiejszych „chrześcijańskich demokratów" Austrii, a jeśli poszukacie następców księdza Lamennais, to znajdziecie ich chyba wśród księży baskijskich, którzy ginęli na barykadach republiki".

Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek nastał czas, by zrewidować nasze stanowisko wobec przeszłości. Stanowisko ideowe i artystyczne również. Ci wszyscy, którzy — jak ob. **Stanisław Dzikowski** w „G a z e c i e L u d o w e j" — każdy przejaw krytycyzmu pokolenia uważają za obrazoburstwo czy atentat moralny, wyznają światopogląd zastoju i wstecznictwa kulturalnego. Każde pokolenie musi (w przeciwnym razie nie rozwija się) inaczej widzieć przeszłość i innych tradycji własnych w niej się doszukiwać. Niejednokrotnie konieczny jest skok o kilka pokoleń wstecz dla odnalezienia powinowactwa ideowo artystycznego. Artykuł Kazimierza Wyki „Żywotne tradycje prozy polskiej" („Odrodzenie" nr 53) był właśnie taką próbą krytycznego poszukiwania. Jeśli krytyk żywotne tradycje prozy polskiej ukazuje w „Lalce", „Emancypantkach" i „Faraonie", to jest to właśnie dowodem szacunku jego i pokolenia, do którego należy, dla przeszłości kulturalnej, w obronie której tak niefortunnie ob. Dzikowski staje.

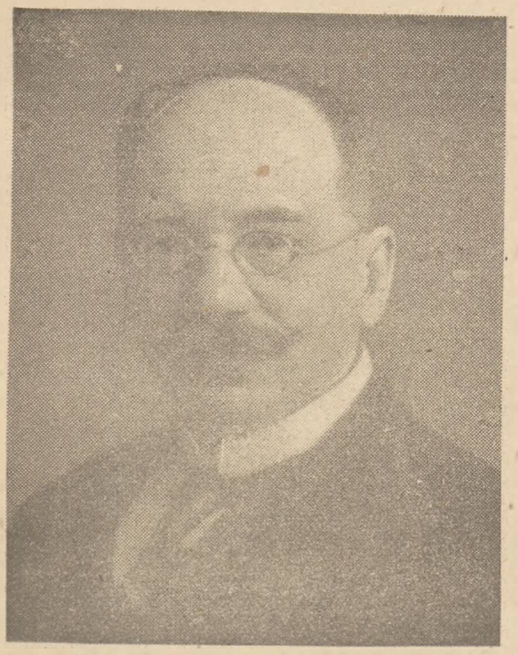
Z drugiej strony nie można większej szkody wyrządzić sprawie kultury, literaturze stającej się współcześnie, jak niwelacja, ordynarnie mówiąc zgleichschaltowanie wartości w imię jakiejś dorażnie pojętej solidarności grupowej. W okresie minionego dwudziestolecia solidarność taka wycisnęła swoje piętno na literaturze, chociaż nie na wiele w sensie ostatecznym się przydała. Pamiętamy chociażby bojkot poety tak wielkiego jak [illegible] grupę Skamandra. Niwelacja, leżąca u podstaw pomieszania pojęć, jest niedopuszczalna nawet z pobudek ideologicznych. Od tej tendencji, niestety, niewolni jest wolnych. Z wielką przykrością odnajdujemy jej przejawy w środowisku, które jest nam bliskie. Humanizm socjalistyczny ma podstawy zbyt poważne, udokumentowane, by można było przymiotnikiem „humanistyczny" szastać na prawo i lewo, określać nim zjawiska, dla których brak jest miejsca w rzędzie wartości obiektywnych. Niedźwiedzią przysługę oddaje się sprawie ukazując złe lub niedojrzałe utwory jako artystyczny przejaw tego humanizmu. To nie jest dydaktyczne. Wydaje się nam, że humanizm jest poglądem na świat niewzruszonym, trwalszym niż węzły najbardziej solidarnej grupy.

Przeżycia lat niewoli są tematem pierwszym wszystkich prac, jakie się od czasu wyzwolenia w druku ukazały. Jednak praca niepodległościowa w kraju, praca konspiracyjna dopiero teraz do literatury wchodzi. Katowicki „D z i e n n i k Z a c h o d n i" swój numer świąteczny poświęcił wspomnieniom czynnej w podziemiu walki z Niemcami. **Stanisław Ziemba** pisze o prasie niepodległej (ten sam temat interesująco podaje **Marek Arczyński** w warszawskim „K u r i e r z e C o d z i e n n y m"), **Bolesław Surówka** o jednym z krakowskich lokali konspiracyjnych, **August Grodzicki** podaje schemat konspiracji w ogóle. Prace te mają charakter pamiętnikarski. Słusznie pisze „R z e c z p o s p o l i t a" o odrodzeniu literatury pamiętnikarskiej, które po tej wojnie nastąpi. Walka z Niemcami pod okupacją zawiera zbyt wiele materiału literackiego fascynującego przez swój autentyzm surowy i wymagającego nie tyle obróbki, ile uczciwości artystycznej. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do zdarzeń już historycznych, jak zamach na Kutscherę, czy (nieudały) na Hahna. Wystarczy porównać autentyczne opowiadanie uczestnika zamachu **Jerzego Chram Piórkowskiego** z utworem opracowanym na ten temat przez **Wojciecha Żukrowskiego** („Dziennik Zachodni"). Piórkowski jest wstrzemięźliwy, autentyzm dyscyplinuje go, że nie pozwala sobie w ogóle (chociaż ma do tego prawo) na pierwsza osobę. Żukrowskiego ponosi temperament beletrysty, że nawet strzela ze Stena. Efekt taki, że Piórkowski daje duże przeżycie artystyczne, a Żukrowski denerwuje.

Konieczność zróżnicowania się czasopiśmiennictwa kulturalnego, co podnosiliśmy niejednokrotnie, samo życie potwierdza. Utrzymują się i dobrze prosperują pisma specjalne o węższym zakresie zainteresowań. Ukazał się właśnie numer 2 miesięcznika „A f i s z S t a r e g o T e a t r u". Pismo to redagowane przez Wojciecha Natansona jest żywo związane z teatrem i teatralną publicznością. Zeszyt drugi „Afisza" zawiera m. in. interesujące ogół czytelników prace **Krystyny Grzybowskiej** („Niemcy w teatrze krakowskim"), **Zygmunta Leśnodorskiego** („Profil artystyczny Zawieyskiego"), **Wojciecha Natansona** (ciekawy essay-szkic o Bernardzie Shaw „Kaznodzieja bez wiary") oraz kronikę i odpowiedzi Flukowskiego, Swinarskiego, Ważyka, Zagórskiego na ankietę p. n. „Prace i zamierzenia polskich autorów dramatycznych".

Dziedzina kultury, która — jak dotychczas — najlepiej została zorganizowana, to muzyka. Przynajmniej w Krakowie. Odbywają się piękne i ciekawe koncerty, a Polski Związek Muzyków i Kompozytorów przejawia żywą działalność wydawniczą. (Istnieje sprawnie funkcjonujące „Polskie Wydawnictwo Muzyczne"). Gotowy wzór do naśladowania dla innych artystycznych związków zawodowych. Z tym wszystkim można się bliżej zapoznać z łamów regularnie ukazującego się dwutygodnika pod redakcją Stefana Kisielewskiego „R u c h M u z y c z n y". Ukazało się już sześć zeszytów „Ruchu". Z prac tam opublikowanych wynotowujemy: **Adolfa Chybińskiego** („Wojenne losy polskich zabytków muzycznych"), **Stefanii Łobaczewskiej** („O konieczność reform w naszym szkolnictwie muzycznym" i „Polskie Radio wobec zadań współczesnej kultury muzycznej"). „Ruch Muzyczny" posiada — co należy specjalnie podnieść — dobrze postawiony dział recenzji i sprawozdań z życia muzycznego wszystkich ośrodków kulturalnych kraju.

zb



STANISŁAW KUTRZEBA
znakomity uczony, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiej Akademii Umiejętności zmarł dnia 7 stycznia 1946 r.

Sprawa taktyczna

Pewne odłamy prasowe w krajach anglosaskich usiłują uczynić z nas ciemiężycieli Niemców. Niemcy mają tam dobrą prasę, Polacy złą. Polskę przedstawia się, jako kraj barbarzyńców, Niemcy, jako naród oszukany przez nazistowskich wodzów Trzeciej Rzeszy. Przemilcza się Oświęcim, a bije na alarm z powodu usuwania Niemców ze Śląska. Trudno. Doczekaliśmy się: Niemcy — pupilami Zachodu. Polacy — narodem okrutników.

W polityce międzynarodowej nie ma legalnej sankcji za oszczerstwa. Do jakiego sądu pociągniemy autorów kłamliwych notatek o prześladowaniu Niemców w Polsce? Jakiż wyrok może nam dać za to zadośćuczynienie? Nie ma takich instancji, nie ma takich orzeczeń.

Aby położyć kres podobnym enuncjacjom, które niewątpliwie nadwerężają opinię Polski w oczach Anglika czy łatwowiernego obywatela U. S. A., należy na nie odpowiedzieć rozsądną akcją prasową. Należy w publikacjach unikać w miarę możności tonów, z których dziennikarz antypolskiego pisma na Zachodzie mógłby łatwo wygrać całą symfonię litości dla Niemców i oburzenia na Polaków. Trzeba natomiast mocno i wyraźnie umieć sformułować zagadnienie gospodarki polskiej na ziemiach odzyskanych i jasno postawić sprawę: że bez okrucieństw potrafimy uczynić na nich wszystko, czego wymaga interes narodowy i gospodarczy kraju.

Reportaż Henryka Worcella, „Gorący dzień w Heinzendorfie“, drukowany w świątecznym (11) numerze katowickiej „Odry“, wzbudza w tym świetle poważne wątpliwości. Czy redakcja organu propagandy ziem odzyskanych powinna była ten reportaż umieścić?

Utwór Worcella przedstawia wydarzenia niewątpliwie autentyczne i zawiera komentarze autora, na które zgodziłby się bez ujmy niejeden z nas. Niemców usuwano z gospodarstw, usuwano bez- [illegible] nikt się dziś w Polsce tego nie wstydzi, bo każdy uważa to za słuszne. Ale z reportażu Worcella, z pewnych jego fragmentów, mógłby dziennikarz anglosaski wysnuć szkodliwe dla nas wnioski... „Teraz ty i druga i dziesiąta powinna rodzić..., a ja powinienem stać koło ciebie z siekierą i każdemu noworodkowi łeb rozbijać“. Słowa te mówi Polak do Niemki, którą wyrzuca z gospodarstwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby „Times“ lub „New Herald Tribune“, czy inne angielskie pismo, powołując się na podobny wyjątek, umieściło na czołowym miejscu rysunek, przedstawiający Polaka-barbarzyńcę, który odrąbuje łebki noworodkom niemieckim. Rysunek ten mógłby nosić tytuł: „Gospodarka polska na niemieckim Śląsku“. W rogu widniałby wymieniony cytat z „Odry“. Tak się przecież robi propagandę antypolską na zachodzie Europy.

Niechże podobna możliwość zawsze stoi przed oczami redaktora „Odry“ i obostrza jego ocenę składanych materiałów.

ok

„Tygodnik Kaczyński“

„Hitleryzm pustosząc w ciągu 6 lat ziemię polską, starał się za wszelką cenę zdeprawować społeczeństwo, a zwłaszcza młodzież. W tym celu użył swego świetnie zorganizowanego aparatu propagandowego i stopniowo i systematycznie sączył jad swoich doktryn. Propaganda ta stosowała różne chwyty, nie wyłączając najbardziej prymitywnych, nawet pornografii. Celem tej propagandy, wyzutej z wszelkich przesłanek moralnych, opartej na kompletnym zakłamaniu, było zabicie wszelkich ideałów, przyświecających od wieków społeczeństwu polskiemu, by przygotować podatny grunt do zaszczepienia w narodzie polskim doktryny materialistycznej... ...Doktryny materialistycznej nie udało się zaszczepić Niemcom u nas dlatego, że doktryna ta jest nam zupełnie obca, jak obce dla mieszkańca Sahary są obyczaje, panujące na dalekiej północy“.

Czyj to głos w ciemności woła? To głos pana Stefana Lubiewy. W jakiejż ciemności woła ten głos?

W ciemności „Tygodnika Warszawskiego“ (nr 7). Kiedy rozjaśnią się ciemności na łamach tego pisma „poświęconego zagadnieniom życia narodowego“? Wtedy zapewne, gdy pan Stefan Lubiewa et consortes przestaną okłamywać siebie, innych i życie narodowe.

O, mieszkańcy rodzimej Sahary! Wyznawcy pustyni intelektualnej, głowy wyjałowione słońcem episkopatu! Po co te kręte drogi? Po co brudne łgarstewka, zamulające do reszty mózgi nieprzyjaciół ślubów cywilnych, po co żałosne dołki dialektyczne, w które tak łatwo wpaść samemu? A więc „doktryna materialistyczna“ — to Hitler? Materializm — to S. S., N. S. D. A. P. i gestapo? Marksizm to teoria rasy? Dialektyka materialistyczna — to brzydka propaganda pornografii niemieckiej, „Fala“ — to pismo marksistowskie?

Księża dobrodzieje! Po co? My wiemy, rozumiemy, o co idzie gra. Czyż nie lepiej uczciwie, po chrześcijańsku? Napisać po prostu, że „Tygodnik Warszawski“ nie lubi materializmu, bo materializm nie lubi zasad, z których wyrósł „Tygodnik Warszawski“? Przyznać otwarcie, że ksiądz Kaczyński stroni od filozofii materialistycznej, bo filozofia materialistyczna prowadzi do wyników sprzecznych z interesami, które reprezentuje ksiądz Kaczyński? Czy się godzi bowiem obarczać duszę Adolfa Hitlera zbrodniami, których ten energiczny dziedzic metafizyki niemieckiej nie popełnił? Czy się godzi pomawiać o materializm wyznawców mitów germańskich, wielkoniemieckich spadkobierców Schellinga, Fichtego i Nietzschego?

Księża dobrodzieje! Zgódźmy się na jedno: walczycie z „doktryną materialistyczną“ równie gorliwie i naukowo, jak Alfred Rosenberg i Józef Goebbels. A także „Nowy Kurier Warszawski“.

kos

Beletrystyka polska w przekładach rosyjskich

Wsiesojuznaja kniżnaja pałata. Gosudarstwiennaja centralnaja bibliotieka inostrannoj litieratury. Chudożestwiennaja litieratura sławianskich narodow w pierewodach na ruskij jazyk. Ukazatiel litieratury. Sostawitieli: **N. I. Pożarskij, A. W. Pajewskaja, M. S. Morszcziner.** Redaktor: **M. I. Rudomino.** Moskwa, 1943; str. 93 i 3 nl.

Zbiorek ten zaczęto drukować w roku 1943. W związku jednak z trudnościami, które wywołała wojna, dopiero ostatnio ukazał się on w obrocie księgarskim.

Jest to skrzętnie wykonana praca bibliograficzna, o niewątpliwie doniosłym znaczeniu dla wytworzenia sobie obrazu popularności poszczególnych powieściopisarzy zachodnio-słowiańskich wśród czytającej publiczności rosyjskiej i z grubsza przynajmniej mówiąca o stopniu znajomości wśród Rosjan literatury zachodnio-słowiańskiej.

Dla nas Polaków, bibliografia ta jest szczególnie ciekawa i cenna, ponieważ stanowi ona pośrednie, ale jakże ważkie i charakterystyczne potwierdzenie naszej przodującej roli w zachodniej Słowiańszczyźnie.

Spróbujmy to zjawisko zilustrować przy pomocy nie wielkiej ilości cyfr. Jeśli pominąć wstęp i materiał poświęcony literaturze słowiańskiej w ogóle, okaże się, że materiał bibliograficzny, poświęcony literaturom poszczególnych narodów słowiańskich, umieszczony jest na 87 stronicach.

Materiał ten grupuje przekłady literatur poszczególnych narodów, jak następuje: Bibliograficzne pozycje przekładów literatury polskiej zajmują 53 strony, tj. 61% całego materiału. Literatura czechosłowacka — 15 stronic, tj. 17%. Literatura Jugosławii (razem wzięte: serbska, chorwacka, słowenska) — 11 stronic, tj. 13%, literatura bułgarska — 8 stronic, tj. 9%. Literatura łużycka reprezentowana jest przez jedną pozycję.

Omawiana bibliografia jaskrawo demonstruje więc fakt, jak znaczne miejsce zajmowała literatura tłumaczeniowa polska w ogólnej produkcji beletrystycznej książki rosyjskiej (zwłaszcza rzecz ciekawa, ze było to w latach ostrego bądź co bądź antagonizmu między Polską podległą a oficjalną Rosją carską).

Ogólna liczba pozycyj literatury polskiej wynosi tu pokaźną cyfrę 1203. Nie są to zresztą dane kompletne: autorzy bibliografii zaznaczają wyraźnie, że nie włączyli do niej takich pisarzy, których utwory nie były wydawane po rewolucji rosyjskiej 1917 r. Niesłuszna też z punktu widzenia ogólnie przyjętych zasad bibliografii naukowej jest metoda włączania nie wszystkich wydań danego przekładu, ale podawania — czasem — tylko ostatniego wydania „jako najbardziej dostępnego dla czytelnika“. Te zabiegi, obniżające wartość naukową, a nawet niweczące kompletność bibliografii, nie przeszkadzają stwierdzić, że i gotowa cyfra pozycji polskich 1203, stanowi 75% ogółu pozycyj, wyrażających się liczbą 1589.

W przekładach rosyjskich literaturę polską reprezentuje poważny zastęp 47 pisarzy obok 33 pisarzy czechosłowackich, 31 pisarzy narodów Jugosławii, 31 Bułgarów i 1 Łużyczanina.

Spośród pisarzy polskich największą poczytnością cieszył się w Rosji Henryk Sienkiewicz. Nie ostateczna, jak sądzimy, liczba wydań jego utworów wyraża się imponującą cyfrą 195 pozycji bibliograficznych. W tym 18 wydań „Quo vadis?“, włączając w to 5 wydań tego utworu w wydaniach zbiorowych.

Sienkiewiczowski „Janko Muzykant“ ukazał się w rekordowej liczbie 44 wydań rosyjskich, z których 23 stanowią wydania oddzielne, poczynając od 1893 roku — po ostatnie z r. 1941, pozostałe 11 wydań — w wydaniach zbiorowych pism Sienkiewicza lub w tomach utworów wybranych.

Znamienne, że ostatnie, z r. 1941, wydanie rosyjskie małego objętością arcydzieła sienkiewiczowskiego ukazało się aż w Stalinabadzie nakładem państwowego wydawnictwa („Gosizdata“) Tadżyckiej Republiki.

Każda poważniejsza pozycja z dorobku sienkiewiczowskiego: „Za chlebem“, „Krzyżacy“, „Trylogia“ — ma znaczną ilość wydań rosyjskich.

Z wybitnych pisarzy polskich — po Sienkiewiczu — wysuwają się na czoło pod względem liczby wydań przekładów: Eliza Orzeszkowa — 187 pozycji, Konopnicka — 76, K. Tetmajer — 65, Reymont — 57, w tym dziewięć wydań „Chłopów“, Mickiewicz — 55, Wanda Wasilewska — 55 pozycji, Żeromski — 51, Prus — 37, Zapolska — 37, w tym sześć wydań „Ich czworo“, pierwsze z r. 1908, ostatnie radzieckie z r. 1922.

Prócz wyliczonych wyżej istnieją rosyjskie przekłady następujących pisarzy polskich: A. Asnyka, H. Bobińskiej, H. Boguszewskiej, S. Brandowskiego, Z. Bukowieckiej, A. Ważyka, Marii Weryho, J. Wittlina („Sól ziemi“), St. Wygodzkiego, Artura Gruszeckiego, St. Górniaka, Gustawa Daniłowskiego, St. Daszewskiej, T. Dołęgi-Mostowicza (jedna pozycja: „Kariera Nikodema Dyzmy“ 1935 r.), Marii Dąbrowskiej, niesłusznie w komentarzu redakcji uznanej za członka lewej literackiej grupy „Przedmieście“, Jerzego Żuławskiego, Janusza Korczaka, Zygmunta Krasińskiego („Irydion“ i „Nieboska komedia“), Ignacego Krasickiego, Leona Kruczkowskiego („Kordian i cham“ i „Pawie pióra“), Jalu Kurka, Andrzeja Niemojewskiego — 25 pozycji, Wł. Orkana, L. Pasternaka, J. Putramenta, St. Przybyszewskiego, Z. Rygier-Nałkowskiej, A. Rudnickiego (dwa wydania „Żołnierzy“), Heleny Selm, W. Sieroszewskiego — 34 pozycje, J. Słowackiego — 11, Andrzeja Struga-Gałeckiego — 11, Zb. Uniłowskiego, J. Chrząszczewskiej, E. Szemplińskiej, Klemensa Junoszy.

Przybyszewski, jako prekursor faszyzmu, polski nietzscheanista i naśladowca Hamsuna, zasłużenie potraktowany jest nieco odrębnie. Ale tu należy zwrócić uwagę na brak konsekwencji autorów omawianej bibliografii. Zastrzegli się oni na wstępie, że ich zestawienie nie obejmuje pisarzy, których przekłady nie były wydawane po rewolucji 1917 r. Nie ma więc tu ani Fredry i Syrokomli, ani Kraszewskiego i Wyspiańskiego. Ale za to jest Przybyszewski i wszystkie jego 30 pozycji są, oczywiście, przedrewolucyjne.

W ogóle praca — nader cenna, choćby dlatego, że pierwsza tego rodzaju — ma szereg istotnych niedociągnięć, które powinny być uwzględnione w zamierzonym następnym wydaniu. Wbrew ogólnej zasadzie — nazwiska szeregu pisarzy, i to wyłącznie polskich nie są zaopatrzone datami urodzenia, a nawet śmierci (np. Dołęga-Mostowicz zmarły w 1939 r.). W krótkich biografiach i charakterystykach, poprzedzających bibliografię, trafiają się błędy. Na jeden wskazaliśmy wyżej (Dąbrowska — „Przedmieście“!). Przykrzejszy jest błąd w charakterystyce Wandy Wasilewskiej: o jej roli współtwórcy ZPP i PKWN przemilczano mówiąc, że była ona podczas wojny li tylko „korespondentką wojenną“ i „propagandystką“ (!). Głośny utwór Zapolskiej „Panna Maliczewska“ — zapewne z winy niestarannej korekty — figuruje pod zniekształconym tytułem.

Są też wady w technice bibliograficznej. Utwory drobne, jedno- lub dwustronicowe, są tu czasem wyliczone na równi z pozycjami solidnymi, książkowymi, psując ogólną orientację. Można było tego uniknąć rozbijając twórczość każdego pisarza na pozycje zasadnicze i utwory drobne, drukowane w czasopismach. Brak numeracji pozycyj utrudnia zorientowanie się w bilansie przekładowym każdego pisarza. Trzeba wyliczać, ale i to przychodzi z trudem, bo sposób wskazania wznowień wydawniczych danego utworu jest wadliwy, skonstruowany nieprzejrzyście, przeczy często zasadzie wyłożonej na wstępie... Według tej zasady wynikało by, że np. „Maria Magdalena“ miała w Rosji 9 wydań, ale po bliższej analizie przychodzi się do wniosku, że raczej chyba 6!

Mimo tej i innych usterek, praca ta da wielostronny, nowy impuls sprawie wzajemnego zbliżenia narodów słowiańskich i zbliżenia ich z narodem rosyjskim w szczególności, pokazując jak dawno i poważnie interesowała się Rosja kulturą narodów zachodnio-słowiańskich. Uwydatniając luki w literaturze przekładowej, da ona bodziec rosyjskim kołom literackim i wydawniczym do nowych tłumaczeń, do wznowień tych utworów i autorów zachodniej Słowiańszczyzny, których warto uprzystępnić współczesnemu pokoleniu czytelników radzieckich.

Jeśli chodzi o literaturę polską, praca taka jest już w dużym i poważnym zakresie prowadzona przez Radzieckie Wydawnictwo Literatury Pięknej „Goslitizdat“. Wydawnictwo to z ogromnym pietyzmem wydaje obecnie tom przekładów Mickiewicza i Tuwima. Wydało „Placówkę“ Prusa. Przygotowuje do druku antologię przekładów poezji polskiej z lat 1918—1945. A przede wszystkim opracowało trzyletni, poważnie i szeroko zakrojony plan przekładów beletrystyki polskiej. Będzie to nowy wielki wkład do sprawy wzajemnego zrozumienia i zbliżenia naszych narodów.

Z. Oskierko-Sławek

PO PROSTU

Protokół i przedpokój

Istnieje protokół dyplomatyczny i przedpokój dyplomatyczny. Protokół dyplomatyczny — to wielka polityka, nie będę dzisiaj o niej pisał. Przedpokój dyplomatyczny — to jest poczekalnia, to jest sposób załatwiania ludzi i spraw. Przed wojną Ministerstwo Spraw Zagranicznych na ulicy Wierzbowej i nasze placówki zagraniczne były chyba jednymi z najbardziej parszywych urzędów, jakie istniały na szerokim świecie. Nasze przedwojenne MSZ wyhodowało sobie dwa specjalne typy urzędników: wyżsi, wytworni i szyderczy, unicestwiali cię spojrzeniem i druzgotali sarkastycznym uśmiechem; niżsi urobieni na wzór policjantów, celowali w chamstwie i niejednokrotnie, — bywało tak w naszym konsulacie paryskim, — wyrzucali emigrantów po prostu za kark na ulicę.

Tak było przed rokiem 1939. Od tego czasu protokół dyplomatyczny bardzo się zmienił, przedpokój niestety pozostał prawie bez zmian. Zmieniło się radykalnie pierwsze piętro, tam gdzie siedzą ministrowie, na innych piętrach niestety... tylko kalendarz mówi o tym, że to nie rok 1939, ale 1945. Wielką politykę robią nowi kierownicy, nowi, mądrzy i twórczy ludzie. Wielka polityka to dużo, ale jeszcze nie wszystko. Sprawy drobne także znaczą. Byłem niedawno częstym gościem zarówno w naszym MSZ, jak i w ambasadach nad Sekwaną i Tamizą. Ku memu przerażeniu, jak w złym śnie, zobaczyłem dobrze mi znane postacie. Odżył, zmartwychwstał, odrodził się bubek emeszetowy. Błąka się po długich korytarzach, w powiewnej marynarce spadającej po kolana, obojętny i nonszalancki, wytworny i wyniosły, zagadkowy i nieprzenikniony. Błądzi po pokojach i korytarzach jak zwiewny elf, zapatrzony w głąb własnej duszy, nieuchwytny, niedosiężny, wiecznie zajęty, zawsze nieobecny; kto? duch! kto? bubek emeszetowy! Obok zwiewnych elfów są jeszcze maszynistki i sekretarki. One niestety tym się odznaczają, że nic nie potrafią załatwić. Ich głównym zadaniem na tym padole płaczu jest bronić wyższych duchów przed najściem śmiertelników.

To co napisałem, w klasycznej poetyce nosi nazwę mitologicznego opisu. A teraz trochę ordynarnych faktów. Od Ministerstwa Kultury i Sztuki dostałem pismo do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z poleceniem wystawienia mi paszportu z wizą angielską i francuską. Nie mieszam się łatwo, ale kiedy stanąłem przed obliczem urzędniczki, wypisującej paszporty, kolana ugięły się pode mną, zostałem starty na proszek, złamany moralnie, unicestwiony fizycznie. Okazało się, że po pierwsze Ministerstwo Kultury nie może **polecać** Ministerstwu Spraw Zagranicznych, ale może je jedynie **prosić.** Okazało się po drugie, że tylko na jednym z papierków, jakie przedstawiłem, jest wypisany powód mego wyjazdu, wobec czego nie wiadomo, czy w tym samym celu jadę do Francji, co do Anglii, a jeżeli jadę w innym celu, to nie wiadomo w jakim. Okazało się po trzecie, że w ogóle zawracam głowę, bo powinienem jechać albo do Francji, albo do Anglii. Okazało się wreszcie, że nie wiadomo, czy w ciągu trzech dni zdąży się wypisać paszport.

Tak było w Warszawie. A w Londynie? Do Londynu przyjechaliśmy ze Stefanem Żółkiewskim w sobotę wieczorem. Byliśmy bez pieniędzy. Nie mieliśmy gdzie nocować. Prosiliśmy woźnego, aby zadzwonił do ambasadora. Odmówił. Nie wolno niepokoić ambasadora! Podaliśmy nazwiska, prosiliśmy raz jeszcze. Wobec tego wreszcie woźny zadzwonił, ale... do służącej ambasadora, z zapytaniem, czy przypadkiem nie zna naszych nazwisk.

Najgorzej było jednak w Paryżu. W przedpokojach naszej ambasady w Paryżu traktują każdego przybysza z kraju jak natręta, który utrudnia urzędowanie Wysokich Osób. Miałem funty. Zwróciłem się wobec tego do urzędnika, który zajmuje się finansami ambasady, o pomoc w wymianie. Czekałem godzinę, zanim raczono mnie wpuścić. Mandaryn od finansów traktował mnie z pogardą, z lekceważeniem, z jawną niechęcią. Zajmowałem mu drogocenny czas. Obok pojedynczych funtów miałem banknot pięciofuntowy. Mandaryn wziął go do rąk, odłożył ze wzgardą i oświadczył: „Różni tacy przychodzą do nas i usiłują wymieniać fałszywe lub wycofane pieniądze. Ja nie widziałem dotąd pięciofuntowego banknotu“. Do diabła! Co w takim razie widział wysoki mandaryn od pieniędzy w naszej paryskiej ambasadzie?

Wszystko to zresztą fraszka wobec przygód mego przyjaciela, Jerzego Zagórskiego, którego na naszej placówce w Pradze naprzód chcieli po prostu zamknąć, a potem oskarżyli w urzędowym raporcie, że jest międzynarodowym szpiegiem.

To jedna sprawa, a teraz druga. Niewątpliwie świetnym pomysłem było wprowadzenie na ważniejszych placówkach specjalnych attaszatów kulturalnych. Na stanowiska te mieli jechać pisarze i artyści, aby zdobyć materiał dla własnej pracy, a przy sposobności korzystając z pomocy i opieki ambasady, nawiązać rzeczywiste kontakty intelektualne, informować obcych o naszym kraju, a nas o tym co się ważnego dzieje w życiu umysłowym Zachodu. Myśl była piękna, a oto co z niej uczyniono w praktyce.

Polityka jest sprawą trudną i odpowiedzialną. Zachowanie rygorów protokołu i hierarchii urzędniczej jest rzeczą niezbędną. Ale nawiązanie współpracy intelektualnej z obcymi artystami i pisarzami wymaga trochę luzu, sporo wolnego czasu i nieco pieniędzy, choćby na to, aby zaprosić kogoś na śniadanie. Do Paryża jako attaché kulturalny pojechała Irena Krzywicka. Miała wszelkie dane, aby rzeczywiście dotrzeć do intelektualnego środowiska obecnej Francji. Zrobiono z niej tymczasem w Paryżu małą, zahukaną urzędniczkę. Kazano jej wypisywać papierki, kazano jej urzędniczyć, poprawiano jej listy, prosić musiała o pozwolenie, kiedy chciała kogokolwiek zaprosić. Rezultat jest prosty. Nasz attaché kulturalny nie był dotąd w żadnym z teatrów paryskich, nie poznał nikogo z pisarzy, nie miał nawet czasu przeczytać nowych książek. Śmieszne jest chyba dodawać, jak wielką rolę, właśnie we Francji, odgrywa nawet w sprawach politycznych możność osobistego oddziaływania na czołowych pisarzy i artystów. Dziś, właśnie dziś, mamy po wielu, wielu latach na nowo możliwość zdobywania intelektualnej lewicy francuskiej. Zadania tego nie spełnią nigdy urzędnicy.

Bardzo szanuję protokół. Przyjdzie może jeszcze chwila, kiedy będą mnie jak Jerzego Putramenta fotografować w autentycznym fraku, w autentycznym cylindrze, z autentycznym Szwajcarem. Zanim to jednak nastąpi, los skazuje mnie na przedpokój dyplomatyczny. I kiedy w Londynie, czy w Paryżu widzę, jak trzech młodych bubków z MSZ ziewa pod afiszem „Wracamy na Zachód“, robi mi się po prostu niedobrze.

Oni powrócili.

Jan Kott

Kronika filmowa

„Iwan Groźny“. Wytwórnia „Mosfilm“. Scenariusz i reżyseria S. Eisensteina, ilustracja muzyczna S. Prokofiewa.

„Iwan Groźny“ ma wszystkie cechy dzieła filmowego powstającego pod auspicjami jednej indywidualności artystycznej — tak jak filmy René Claira, Sachy Guitry czy Chaplina. W tym wypadku Eisenstein połączył w swojej osobie scenarzystę i reżysera. Wynika stąd przetopienie całej rzeczywistości historycznej i materialnej, obrazowej, w jeden blok, w formę widzenia, w język i styl postaciowania odrębny od innych, logiczny w całym przebiegu i własny poetycko.

Temat — ujmując krótko — to walka potężnej indywidualności monarszej, cara Iwana, z bojarstwem. Car, zapatrzony w wizję potężnej i szczęśliwej Wszechrosji, natrafia na swej drodze na oponentów, udzielnych książąt, bojarów, którzy nie patrzą dalej swego nosa, ściślej mówiąc — sakwy z talarami. Jeśli pokusimy się o analogię — to Stefan Batory i polskie możnowładztwo, z tą różnicą, że Iwan Groźny wychodzi z tej walki zwycięsko. Pierwsza część cyklu, bo tak ten film jest pomyślany, obejmuje okres od koronacji poprzez wyprawę kazakstańską aż do obrócenia oczu na Inflanty. W traktowaniu tego materiału historycznego Eisenstein postępuje dość bezceremonialnie, stylizując go dla przeprowadzenia idei jedynowładztwa, jako najtrafniejszej formy rządu w tym czasie, a być może też dla wydobycia charakteru cara jako monolitu, zdobywającego zdecydowanie sympatię widza. Tak potraktowany np. został motyw żony Anastazji, która jest podporą cara w walce o władzę, jego prywatnym „refugium“, i dlatego pada ofiarą w zamachu trucicielskim w związku z kandydaturą na tron nieudolnego kretyna Włodzimierza. Skądinąd wiadomo, że stosunek cara do małżonki nie był tak idylliczny i że śmierć jej nastąpiła w zgoła innych okolicznościach.

Centralną postać Iwana kreuje M. Czerkasow, doskonały w masce i świetnie operujący głosem, zwłaszcza w początkowych partiach, od kapitalnej sceny koronacji począwszy. Potem, w miarę wątlenia sił fizycznych, car schizotymik, stylizowany prawie na Chrystusa, jakby żywcem przeniesionego z pałacowej ikony — traci na ekspresji. To zestawienie wydaje się niewłaściwe dlatego, że Iwan jako postać historyczna jest raczej geniuszem woli niż uczucia, i taka scena jak poniżanie się i czołganie władcy u stóp bojarów dla zapewnienia dziedzictwa synowi (w chorobie i upadku) podrywa zaufanie do jego siły, kiedy się znów porywa do życia (spod mszału na łożu śmierci) i zaczyna ryczeć na trzodę małych ludzi tubalnym głosem.

Urocza Anastazja jest L. Celikowska.

Te dwa nazwiska nie wyczerpują listy świetnych aktorów: należało by właściwie wymieniać ich z programu po kolei. Nikt tu nie był zły. Każda twarz i sylwetka wybrana w sposób jedyny, zdumiewa, sprawia niespodziankę, odsłania głębię duszy do spodu — sceptyk to sceptyk do szpiku kości, warchoł — puchnie od egoizmu i chciwości itd. Obiektyw Eisensteina ma jeszcze inne właściwości — hieratyzuje postaci zależnie od sytuacji, ci sami są raz więksi a raz mniejsi w stosunku do innych osób dramatu, zależnie od woli położenia akcentu na tym lub innym elemencie. Konstrukcja sceny zdecydowanie teatralna (nie zawiera to przytyku). Obrazy są wyważone diagonalnie, żaden kąt nie pozostaje pusty, nie ma w niczym przypadkowości, każdy moment gotowy do zastygnięcia w historycznym obrazie, każdy rekwizyt urasta do rangi motywu i symbolu. Można powtórzyć to, co się już nieraz mówiło o teatrze rosyjskim, że w nim martwe przedmioty grają. Rzecz zrozumiała, że w filmie jest to jeszcze łatwiejsze do przeprowadzenia dzięki ruchomemu obiektywowi. Z plenerów — najznamienitsza — wyprawa na Kazakstan potraktowana z rozmachem najlepszych wzorów amerykańskich, z tym, że nakład kosztów opłaca się i widowiskowo i artystycznie.

Ilustracja muzyczna Prokofiewa, jakkolwiek nie frapuje szczególnie odkrywczymi pociągnięciami (a po kompozytorze tej miary można się było tego spodziewać) zgodnie służy przebiegowi akcji.

Marian Promiński

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Baszłowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.— Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna: w administracji 78 zł, w punktach sprzedaży „Czytelnika“ 82.50 zł, z odnoszeniem do domu w Krakowie 84 zł, zamiejscowa przez pocztę pod opaską 84 zł.
M — 06246 Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“.